Nr. 33. Warszawa, dnia 7 (19) Sierpnia 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Zamach w Rennes.

Dnia 12 b. m., w pierwszym dniu wznowionych posiedzeń publicznych sądu wojskowego nad Dreyfusem, na jednego z jego obrońców, Laborego, kiedy szedł do sali sądowej, na ulicy w Rennes rzucił się z rewolwerem zaczajony zbrodniarz i zadał mu ranę, która w pierwszej chwili obudziła obawy o życie, później jednak nie okazała się niebezpieczną i nawet, jeśli proces dłużej potrwa, nie odejmie znakomitemu prawnikowi i mówcy sądowemu możności wystąpienia jeszcze w obronie oskarżonego. Sprawca zamachu umknął. Chwytano go na miejscu w polu zarosłem zbożem, sięgano po niego w Le Mans: dotychczas nie trafiono nawet na ślad jego ucieczki. Bałamutne podanie niesie, że gdy Labori od strzału padł, dwaj współsprawcy zbrodniarza rzucili się na ciało, uważając je za martwe, i ograbili je z papierów, które Labori miał przy sobie. Czyn i bez tego upstrzenia sam przez się może być tylko zmową, w której po za sprawcą fizycznym, najętym i zapłaconym, stoją intelektualni — najęci już przez złego ducha Francyi, ale czekający jeszcze na zapłatę. Schwytanie zbira niewątpliwie odsłoniłoby rzeczywistych zbrodniarzy: stąd to zniknięcie tak szybkie i pomyślne. Nie żałując nakładu namiętności i pieniędzy na samo przestępstwo, nie pożałowano go też i na środki ochraniające przestępcę; dbano o własne bezpieczeństwo.

W zamachu wyłączone jest zupełnie działanie z pobudek osobistych samego fizycznego sprawcy, ale nie sprawców intelektualnych. Ci rządzili się zarówno nienawiścią do osoby, jak wrogiemi namiętnościami społecznemi i politycznemi. Nienawistną im jest osoba tego żyda, skazanego bezprawnie, z pogwałceniem porządku ustanowionego przez prawo, a zatem podejrzanie pod względem samej sprawiedliwości wyroku; wrogie im są wszystkie te usiłowania, które nareszcie bezprawność już wykryły, a sprawiedliwość teraz właśnie odważają — czy na sprawiedliwej wadze? to się dopiero okaże. Nikt o tem nie wątpi, że zbrodnia wylęgła się w bagnisku, wyrzucającem od dwóch lat błoto na Dreyfusa, Żydów, rewizyę procesu, rewizyonistów, szczerych republikanów, demokratów i postępowców — na samą wreszcie rzeczpospolitą. Zamach na Laborego jest najnowszym, ale nie pierwszym i nie ostatnim, czynem tej federacyi żywiołów konkretnie z dzisiejszem ukształtowaniem państwa francuskiego, absolutnie z moralnością i prawdą, z prawami człowieka i z postępem walczących. Jest to zrzeszenie się, sprzysiężenie, nawalnica ciemnych potęg Francyi, i nietylko Francyi samej: człowieczeństwu i ludzkości. Chwila, w której sformował się ten hufiec ciemności, wyprzedziła znacznie ruch wszczęty o Dreyfusa, sprawa żyda dała tylko dobrą sposobność i podnietę: piekielny autorament sięga do r. 1888, do ruchawki Boulangera.

On pierwszy zakłął nienawistne rzeczypospolitej moce, aby na miejsce dzisiejszych porządków konstytucyjnych postawić dyktaturę uliczną, którąby sam pochwycił, gdyby mu się było poszczęściło i udało zburzyć republikańską formę rządów. Mógł tę dyktaturę zatrzymać dla siebie, mógł i wydać orleańczykom dla przetopienia jej na monarchię, ale w każdym razie mieć ją chciał. Do tego celu potrzebował środków; dostarczyli mu ich wszyscy niezadowoleni, a wśród nich znaleźli się i radykalni, a nawet nieco socyalistów. Wszystko, co żyło bez ideału lub przepaliło się od niego, co dławiło się od osobistych goryczy i osobistych żądz, co widziało siebie w dole, a chciało widzieć w górze; wszystkie nienasycone nienawiści społeczne; wszystkie ambicye niezdolne odwrócić się od przeszłości, którą zorganizowana w r. 1875 rzeczpospolita ostatecznie pogrzebała; całe awanturnictwo i całe wsteccnictwo szukające dnia jutrzejszego we wczorajszym — wszystko to wpłynęło do tego jeziora, które w historyi ma nazwę bulanżerówki. Zabijając się na grobie pani Bonnemain, Boulanger pozostawił po sobie całą bandę na rozbicie Francyi. Znaleźli się w niej i patryoci, jak Deroulede, i waryaci jak Rochefort, i radykaliści jak Millerand; do jednego obozu zbiegli się orleaniści i imperyaliści, antysemici i katolicy, zwolennicy plebiscytu i obrońcy przeszłych i przyszłych tronów Francyi, nieprzyjaciele parlamentaryzmu i wyznawcy teoryj, zabijających wszelkie życie polityczne; zbiegli się wreszcie krzykacze, wołający: „Na Niemca!“, a oglądający się, czy Niemiec za kark nie chwyta. Nadciągnęli nakoniec i generałowie malkontenci, których za Boulangera nie było.

Po śmierci dopiero tego generała, który jedyne zwycięztwa swe odnosił na bruku Paryża, na czele *camelotów*, stronnictwo jego prawdziwie się rozrosło, roztyło, a niczem tak się nie napasło, jak Dreyfusem. Z miąższem przybywało mu i odwagi. Tajemna i jawna agitacya, szerząca to pojęcie, że rzeczpospolita jest zła, a jej rządy, na równi z Żydami, gubią Francyę, coraz częściej wychylała się z ideowych nor swoich i wypełzywała na świat materyalnej rzeczywistości. Na jesieni roku przeszłego generał Negrier wydał z siebie pierwszy pomruk buntu: już w lutym roku bieżącego Déroulède i Habert natarli na Rogeta i jego żołnierzy, aby ich podburzyć. W lecie ów gen. Negrier wydał wiadomy o-

kólnik, buntujący wojsko przeciwko władzy państwowej, przeciwko porządkom konstytucyjnym narodu. Puszczono go wolno, a ta bezkarność jednego dodała odwagi innym. Niewątpliwie, partya wojskowa jako przeciwniczka rządów cywilnych, republikańskich — wskutek tego w wojsku wzrosła. Nareszcie teraz, przed tygodniem rząd trafił na zupełny spisek, który miał położyć kres rzeczypospolitej. Uwięzienie Déroulede'a, schwytanie kilkunastu jego współdziałaczy, poszukiwanie innych — na tle procesu Dreyfusa zarysownją o wiele od niego większe i ważniejsze kształty wypadków, natury rewolucyjnej, zmierzających już wraz do przewrotu. Przy większych interesach prowadzi się i mniejsze: skacze się do gardła rzeczypospolitej, aby ją zdusić, ale najmuje się przytem i zbirów, aby nasycić namiętność, wchodzącą w całokształt idei przewodnich. Jeśli rząd nie ma dość siły, czy dość odwagi, na wycięcie wrzodu, wrzód zje organizm: armia pomoże tym *cywilom*, którzy z nią trzymają — i rzeczpospolita pójdzie na strych.

Tydzień polityczny. Sąd w Rennes d. 12 b. m. rozpoczął badanie świadków. Najpierwszymi byli Casimir-Perier, prezydent rzeczypospolitej i Mercier, minister wojny w czasie skazania Dreyfusa. Nie zgadzali się oni z sobą: Mercier, zeznając raczej jak oskarżony, niż jako świadek, bronił pogwałcenia procedury w procesie niebezpieczeństwem wojny z Francyą; Perier nic o niebezpieczeństwie nie wiedział, a trzymany wogóle w niewiadomości przez swoich ministrów, wydobył się z ciemnicy nagle, usuwając się z prezydentury. Mercier wyraził moralne przekonanie o winie Dreyfusa, generał zaręczył za to wojskowym swym honorem. Perier winy nie dotykał. Konfrontacya w d. 14 b. m. nie usunęła sprzeczności. Zeznanie Merciera przypomniało konwencyę militarną w końcu lata 1894 podpisaną pomiędzy Rosyą a Francyą. D. 16 b. m. zeznawał Roget; w jego przekonaniu *bordereau* napisał Dreyfus, a Esterhazy dostał 600,000 fr. od Dreyfusów za wzięcie winy na siebie. Dreyfus d. 12 b. m. dotknięty przez Merciera, porwał się z okrzykiem; d. 16 b. m. zażądał głosu dla zbicia Rogeta: prezydujący pozwolił mu przemówić nazajutrz. Guerin, minister sprawiedliwości w r. 1894, oświadczył, że Mercier przedstawił sprawę na radzie: wina zbudowana była z poszlak w akcie oskarżenia nagromadzonych. Późniejszy minister sprawiedliwości, Lebon, surowe obchodzenie się z więźniem usprawiedliwiał niebezpieczeństwem jego ucieczki. Nałożono wprawdzie drugie kajdany, ale przecież nie było w nich Dreyfusowi ciężej! Zresztą więzień się nie skarżył. Jest wprawdzie protokół o srogości, ale protokół stronny. Dokument ten, odczytany na posiedzeniu, sprawił wrażenie głębokie.

O zamachu na Laborego na wstępie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

CO DAJE KANALIZACYA?

Kanalizacya wielkich miast potrąca o tyle spraw i interesów ludzkich, że dziś stanowi ważną kwestyę zarówno społeczną jak i ekonomiczną, dotyczącą nietylko ludności miejskiej, lecz i wiejskiej. To też w chwili, gdy Warszawa jeszcze się kanalizuje i jednocześnie daje już pewną sumę rezultatów robót dotychczasowych, a Łódź ma się wkrótce kanalizować — specyaliści i nie-specyaliści żywo się interesują tą sprawą. Projektodawcami kanalizacyi w Łodzi między innymi są pp. Terechów i Fadiejew, którzy nawet świeżo wydali broszurę p. t. „Kanalizacya i wodociągi wielkich miast." Jednocześnie p. E. Jankowski w *Ogrodniku polskim* wystąpił z artykułem, w którym narzeka na marnotrawstwo systemu obecnego, tj. na spuszczanie ścieków miejskich do rzeki, podczas gdy przy systemie irygacyjnym przyniosłyby one olbrzymie korzyści dla rolnictwa i ogrodnictwa. Wszystkie te względy zasługują na szczególną uwagę. I autorowie broszury powyższej krytykują system kanalizacyi warszawskiej, ale z innego stanowiska. Widzą oni w nim wielki uszczerbek dla zdrowia ludności.

Najpierw rozważmy, czy istotnie spuszczanie ścieków do rzeki jest tak dalece niebezpieczne dla zdrowia ludzkiego. Kwestya ta już była żywo poruszana i wszechstronnie roztrząsana przez uczonych europejskich zaczynając od r. 1877. Następnie znany profesor, dr. Max v. Pettenkofer poświęcił jej osobny odczyt w Towarzystwie niemieckich techników gazowych i wodociągowych, który potem drukiem ogłosił. Uczony ten dowodzi, że spuszczanie ścieków monachijskich do Izary wcale nie zanieczyszcza tej rzeki i że miasta niżej położone: Treising, Moosburg, Landshut, Dingolfing, Landau i Plattling, wcale nie ucierpiały pod względem zdrowotnym. Sam Pettenkofer i inni jeszcze przed laty trzydziestu kilku wprawdzie zwrócili uwagę na to, że okolice nawiedzane epidemicznie przez cholerę położone były wzdłuż dolin rzek, a więc grupowały się około wód bieżących: ale profesor powyższy już wtedy udowodnił, że to dziwne ugrupowanie wcale nie zależy od rzek, od studzien lub wodociągów, zasilanych wodą rzeczną, lecz tylko od konfiguracyi i składu gruntu, jak również od wody gruntowej *). Prof. Pettenkofer zwraca uwagę na to, że najwięcej materyj zakaźnych wytwarzają szpitale, że w Monachium np. dwa wielkie zakłady tego rodzaju, na prawym i lewym brzegu Izary, jak również szpitał okręgowy i w najnowszych czasach szpitał dla dzieci, wreszcie wielka rzeźnia i targowisko na bydło, spławają ścieki bezpośrednio do Izary. W Würzburgu ścieki szpitala Juliusza płyną do Menu, a z klinik uniwersyteckich Bonn — *bezpośrednio* do Renu, a jednak ludność mieszkająca poniżej nad temi rzekami, nie cierpi wcale na tem. Miasto Lyon posiada wodę filtrowaną rzeczną, pomimo że największe miasto szwajcarskie powyżej, Genewa, spławia do Renu swoją wodę brudną, nietylko ściekową, lecz i kloaczną. Na zasadzie tych oraz bardzo wielu innych danych tudzież na podstawie badań bakteryologicznych prof. M. Pettenkofer wysnuł teoryę samooczyszczania rzek i doszedł do twierdzenia empirycznego, że można zwyczajną wodę ściekową wraz z fekaliami powierzać rzece, jeżeli ilość wody 15 razy przewyższa ilość doprowadzonych ścieków i jeżeli przytem prąd wody rzecznej nie jest mniejszy od prądu wód ściekowych. W takich warunkach następuje zawsze pożądane rozcieńczenie i samooczyszczenie wody bieżącej na niewielkiej przestrzeni.

Pomimo tych dowodzeń uczonego niemieckiego, dotychczas jeszcze panuje przekonanie, że spuszczanie ścieków do rzek zaraża ję bakteryami chorobotwórczemi, że zatem nierównie bezpieczniejszy dla zdrowia powszechnego jest system irygacyjny. Czy rzeczywiście? Zobaczmy, co o tem mówią uczeni: Ogier i Grancher w Paryżu, następnie Fränkel i Piefke w Berlinie przy badaniach swoich nad działalnością wyjałowionych filtrów piaskowych doszli do przekonania, że dotychczasowe teoretyczne rozumowanie o nieprzepuszczalności grubych warstw ziemnych dla bakteryi, jest mylne, że nawet filtry piaskowe, stosowane w wielkich miastach, celem klarowania wody do picia, przepuszczają laseczniki cholery i tyfusu, cóż dopiero mówić o warstwie grubości 1 m. na polach irygacyjnych! Pasteur widział w nich wielkie niebezpieczeństwo! Oto, co on powiedział na posiedzeniu „Conseil d'hygiene et de Salubrite de la Seine" dn. 9 marca 1888 r.: „Zadaniem hygieny jest zniszczyć zarodki chorób zakaźnych wszelkimi możliwymi sposobami, jak również zabezpieczać się od ich skutków. Ale cóż proponują natomiast? Oto radzą, ażeby nie odprowadzono ich do morza, gdzieby już wcale szkodzić nie mogły, lecz aby gromadzono je w coraz większych ilościach na polach, położonych tuż za bramami wielkiego miasta Paryża. I pola te mają być uprawiane w kulturze! Gdyby przynajmniej tego nie żądano, nie byłoby możliwości zawleczenia laseczników z powrotem do Paryża.." Obawy Pasteura nie miały jednak podstaw, gdyż wynikły one nie z faktów epidemiologicznych, lecz z zasad teoretyczno-bakteryologicznych. Fakty epidemiologiczne, jak dowodzi Pettenkofer, przeczą stanowczo wywodom i obawom Pasteura, gdyż zdrowostan tysiąca robotników, zajętych na polach irygacyjnych nietylko w Gennevilliers, lecz także w Berlinie, Gdańsku i Wrocławiu, jest wyborny, a obawy co do niebezpieczeństwa pól irygacyjnych pozbawione są podstawy tak samo, jak nie miało racyi przerażenie wobec ścieków monachijskich.

Z wywodów tych widzimy, że ostatecznie uczeni nie uważają za niebezpieczne dla zdrowia ludzkiego obu systemów kanalizacyi: spuszczania ścieków do rzek i zasilania pól. Może tak jest, może wreszcie istnieje pewne stopniowanie: większe lub mniejsze bezpieczeństwo tego czy tamtego systemu. Pozostawiamy więc tę kwestyę na uboczu, bierzemy zaś teraz pod rozwagę drugą: ekonomiczną: Jeżeli oba systemy dają jednakowy wynik pod względem zdrowotnym, to natomiast bardzo się różnią pod względem korzyści materyalnej. Kanalizacya spławna jest olbrzymiem marnotrawstwem. Najcenniejszy produkt, który mógłby zasilić i podnieść ogromnie wydajność gruntów okolicznych, idzie do wody.

*) W Indyach, kraju rodzinnym cholery, ruch jest odwrotny: epidemia cholery posuwa się nie w dół, lecz w górę rzeki. To samo stwierdzono w Hiszpanii r. 1886.

Praktyka już gdzieindziej wykazała, jakie nieocenione korzyści przynosi kanalizacya irygacyjna. W Odesie istnieje ona od r. 1890 i zasila wielką równinę, zwaną Peresyp. Miejscowość ta dawniej była zupełnie pusta, jałowa i nawet nie przypuszczano, ażeby tam mogła utrzymać życie najlichsza, najmniej wybredna roślina. Tymczasem już przed czterema laty podziwialiśmy na wystawie rolniczej w Moskwie przepyszne płody tej ziemi, dzięki polom irygacyjnym, zasilonym przez kanalizacyę odeską. Obecnie mamy ciekawe dane, zebrane przez p. E. Jankowskiego w *Ogrodniku Polskim*. Otóż dowiadujemy się, że na zalewanych polach piaszczystych wybornie rosną wszelkie trawy, nadewszystko zaś lucerna. W drugim roku dała ona *sześć* pokosów, branych wtedy, gdy zaczynała kwitnąć. (Ogółem otrzymano z morga przeszło 1,000 pudów suchej lucerny). Po każdem skoszeniu pole na nowo zalewano. Świetnie udają się tam buraki pastewne (5,000—6,500 pudów z morga). „Z wielką starannością — mówi p. J. — badano na stacyi warzywa, dlatego, że rozpowszechnione jest mniemanie, jakoby pokarm ten, otrzymany z pól, zalewanych nieczystościami, był niesmacznym (według niektórych wstrętnym), dla zdrowia wprost szkodliwym." Zdania te są bezpodstawne, gdyż do wnętrza rośliny bakterye się nie dostają. Mogą one wprawdzie być na korzeniach z ziemią, ale nikt warzyw korzeniowych nie spożywa na surowo. Sprawozdania komisyi, która badała takie rośliny, wyhodowane w Gennevilliers pod Paryżem, stwierdziły, że są one delikatniejsze, soczystsze i smaczniejsze, niż otrzymane ze zwykłej ziemi. Na znacznej przestrzeni pól zalewanych na Peresypie pod Odesą z ogromnem powodzeniem uprawiane są obecnie warzywa, które się wyrażają w następujących liczbach z morga: kapusty 3,000 pudów, buraków 4,500, selerów 1,500, pomidorów 1,500. Nadto wielkie plony wydaje uprawa szparagów, truskawek, poziomek, a z drzew — moreli i brzoskwiń, których owoce mają po 1 f. wagi. Co do stanu zdrowotnego, doświadczenie dało również dodatnie wyniki. Śmiertelność na Peresypie po urządzeniu pól zalewanych nie wzrosła lecz przeciwnie — zmniejszyła się (według sprawozdania dyrektora stacyi bakteryologicznej w Odesie, p. Diaptrowa).

A Warszawa? — Dotychczas marnuje ona te nieocenione bogactwa, pomimo, że mogłaby oddawna już urządzić pola irygacyjne, gdyż były one przewidziane. W zatwierdzonym projekcie kanalizacyi, a nawet przy budowie głównego kolektora bielańskiego, licząc na te pola, urządzono dla ich zasilania rozgałęzienia stosowne. Niech więc bezpośrednio interesowani zakołaczą zbiorowo do sfer właściwych za pomocą memoryału, opartego na danych naukowych. Należałoby również zawczasu poczynić zabiegi przed rozpoczęciem kanalizacyi w innych miastach Królestwa. Oczywiście zabiegi te powinny być poparte poważniejszym materyałem niż ten, na jaki się zdobyli pp. Terechow i Fadiejew w swojej broszurze.

LISTY PETERSBURSKIE.

Reforma i wzmocnienie środków komunikacyjnych w guberniach zachodnich.—Sprawy włościańskie.—Wnioski i projekty prasy z powodu okólników ministra oświaty.

Jednym z głównych czynników rozwoju ekonomicznego jest dobra komunikacya. Brak jej atoli lub wadliwa organizacya na znacznych przestrzeniach państwa niejednokrotnie już ujawniły fatalne skutki. Jest to także między innemi jedna z ważnych przyczyn obecnej klęski głodowej, jest zresztą powodem częstych niedomagań w rolnictwie, zwłaszcza w takich wypadkach, gdy chodzi o terminową dostawę. To też siły produkcyjne kraju i energia idą na nieustanne borykanie się z trudnościami komunikacyjnemi, przez co również znacznie się podnosi koszt wytwórczości. Za granicą wybornie i dawno już oceniono ten doniosły warunek rozwoju dobrobytu ludności; to też nietylko koleje żelazne, ale i drogi kołowe są tam w świetnym stanie, wszelkiego zaś rodzaju dostawa tania i akuratna, co także wpływa na taniość produktów, a więc i na dostępność ich dla szerokich mas spożywców.

Na olbrzymich obszarach państwa rosyjskiego panują wręcz odmienne stosunki. Ludność dotkliwie odczuwa nietylko brak wielu dróg nowych, lecz i lichy stan dawnych. Powoli sfery właściwe zaczynają myśleć o środkach zaradczych. Obecnie zwrócono uwagę na stan komunikacyjny dziewięciu gubernij zachodnich, nieposiadających instytucyj ziemskich, tych organów, których zadaniem jest właśnie czuwanie nad stanem dróg. Ponieważ gubernie zachodnie nie mają tej opieki, więc komunikacya tam jest w okropnym stanie. Czuwają nad nią t. zw. komitety zarządzające, w których skład wchodzą przedstawiciele administracyi miejscowej. Dotychczasowa gospodarka jest zbyt słaba, głównie może z braku środków odpowiednich, więc postanowiono rozszerzyć i wzmocnić je. Ogłoszono tedy nowe prawo, na którego mocy zwiększono kapitały drogowe tudzież określono jaśniej i dokładniej granice działalności i obowiązki powyższych komitetów. Prawo to (z 15 maja r. b.) jest rozszerzeniem dawniejszej (z 1 czerwca 1895 r.) uchwały Rady państwa. Otóż w myśl nowego prawa kapitały drogowe będą powiększone i pozostaną nadal w rozporządzeniu komitetów. Ważnym warunkiem jest to, że prawo określa jasno cele zużytkowywania tych funduszów. Przeznaczono je na budowę nowych i ulepszenie starych dróg szosowych, brukowanych oraz gruntowych, które mają znaczenie dla miejscowych potrzeb rolniczych, przemysłowych i handlowych: na budowę mostów, grobel, promów, śluz itd. tudzież na utrzymanie w dobrym stanie tych wszystkich środków komunikacyjnych. Komitety mają prawo wydawać gminom wiejskim i miejskim zapomogi i pożyczki na ulepszenie lub utrzymanie dróg, pozostających pod ich zarządem wyłącznym. Gubernialna służba drogowa otrzymała nową organizacyę. Na czele stać będzie starszy inżenier do spraw drogowych. Czuwać on będzie wraz z pomocnikami nad stroną techniczną. Opiekę nad kapitałami oraz wszelkie czynności kancelaryjne powierzono referentom i ich pomocnikom. (Dotychczas tylko trzy gubernie południowo-zachodnie miały takich referentów). Komitety gubernialne opracowują plany operacyjne gospodarki drogowej na trzy lata z góry i za pośrednictwem gubernatora miejscowego przedstawiają je wraz z kosztorysem do zatwierdzenia władzy ministeryalnej. Ważny jest szczegół, jakkolwiek tylko warunkowo postawiony, że na posiedzenia komitetów mogą być wzywane osoby prywatne, nienależące do składu administracyi miejscowej, *o ile* ich zdanie będzie korzystne. Zdanie takie bezwarunkowo zawsze musi być korzystne, gdyż jest głosem ludności, bezpośrednio odczuwającej swoje potrzeby. Komitet, jakkolwiek *miejscowy*, stoi poniekąd po za temi potrzebami. Plany i kosztorysy nowych dróg, sporządzone przez starszych inżenierów drogowych, muszą być zatwierdzone przez wydział budowlany rządu gubernialnego.

Gminy włościańskie w guberniach zachodnich, tak samo jak gminy wiejskie w Królestwie Polskiem, muszą utrzymywać drogi istniejące systemem szarwarkowym. Ale komitety, według swego uznania, mają prawo uskuteczniać te roboty na rachunek kapitałów drogowych. Przepis ten stworzono po to, ażeby ujednostajnić procedurę poprawy dróg i tym sposobem uniknąć nieporozumienia pomiędzy inżenierami drogowymi a policyą, pod której zarządem pozostaje szarwark włościański.

Z tego ogólnego szkicu ustawy widzimy, iż ma ona na celu jak największe uproszczenie formalności, a zatem nadanie większej samodzielności robotom. Dotychczas najsłabszą stroną utrzymania dróg w porządku był szarwark włościański. Niejednokrotnie mieliśmy sposobność widzieć, jak te roboty wyglądają. Chłopi, wypędzeni na drogę przez policyę, najczęściej bezpośrednio przez wójta, idą i odgrywają komedyę: starzy leżą w rowach, chłopcy i dziewczęta rozgrzebują nierówności lub wrzucają gałązki i darninę do wyżłobionych kolein. Najczęściej psują drogę jeszcze gorzej. Wogóle lud wychodzi do tych robót z niechęcią, jak gdyby mu krzywdę wyrządzano. Bardzo być może, że przyczyną tej niechęci jest także sposób organizacyi robót — powierzenie jej ludziom, którzy nie zawsze dobro ogólne mają na względzie.

Obecnie w skład komitetów zarządzających wchodzą ludzie wykształceni. Od ich dobrej woli i sumienności zależeć będzie rozwój i pomyślność środków komunikacyjnych ludności, a więc i poprawienie dobrobytu kraju. Przedewszystkiem trzeba się starać o dobór takich ludzi. Co do strony formalnej, niezmiernie ważną jest ta okoliczność, że zatwierdzenie planów operacyjnych zależy od ministrów: spraw wewnętrznych i skarbu i że jeżeli nie nadejdzie z ministeryum jakakolwiek odpowiedź w oznaczonym terminie, można plany uważać za zatwierdzone. Wogóle nowe prawo usuwa wiele pisaniny niepotrzebnej i długą procedurę porozumiewania się z rozmaitemi władzami.

Naprawa dróg jest, jak rzekliśmy, jednym z ważnych środków naprawy bytu ludności wiejskiej. W poprzednim artykule pisaliśmy o raporcie p. ministra skarbu i zaznaczonej w nim konieczności zreformowania podstaw bytu włościan. Sprawa ta obecnie stała się przedmiotem uwagi prasy rosyjskiej. Dawno już tyle, co obecnie, nie rozprawiano o formie władania ziemią. Posypały się także projekty. Między innymi wypowiedziały wnioski *Birżewyja Wiedomosti.* Wystąpiły one przeciwko gminnemu władaniu ziemią i dla skrępowania tej formy doradzają sposób następujący: Należy stworzyć taki warunek, ażeby gruntów, nabytych przy pomocy Banku włościańskiego, nie użytkowano w formie wspólnego władania. Natomiast nabywcy powinni rozdzielać kupiony grunt na osady, oddane we władanie osobiste, tak, aby posiadały one w jednej figurze wszystkie przynależne grunty, bez szachownicy. Nowonabywcy powinni się budować przynajmniej w odległości 100—200 sążni dom od domu. Co do gromad dawniejszych, projektodawca zaleca następujące środki:

1) Aby nowym rodzinom wyznaczano osady nie w granicach dawnej wsi, lecz w odległości najmniej 50—100 sążni od ostatniej chaty i aby przytem wszystkie należne im grunty wydzielano jednolicie w pobliżu domu. 2) Aby każdy członek gromady wiejskiej, który spłacił sumę wykupną w całości, miał prawo żądać wydzielenia mu w naturze całej przypadającej na niego przestrzeni gruntu w jednym kawałku. Po osiedleniu gospodarza cały ten obszar staje się wyłącznie jego własnością, nie może być działkowany i przechodzi w jego rodzinie na prawach majoratu.

Jako najpożądańszą wielkość osad, projektodawca przyjmuje 10—20 dziesięcin. Tam wszakże, gdzie jest wielka obfitość ziemi, normę tę można podnieść do 50—60 dziesięcin. Autor podaje zasady majoratów chłopskich, różniących się znacznie od tej formy władania śród szlachty. Mianowicie chce on, ażeby posiadacz majoratu spłacał młodsze rodzeństwo w stosunku ceny, za jaką osada mogłaby być kupioną przy pomocy Banku włościańskiego. Wprowadzenie atoli takiej formy w życie połączone byłoby z wielkiemi trudnościami. Wzbronienie podziału osad w naturze obciążyłoby znacznemi wierzytelnościami własność włościańską, a więc dokonanie spłat rodzinnych byłoby możliwe tylko w razie stworzenia jakiejś nowej instytucyi kredytowej, udzielającej na ten cel pożyczek nizkoprocentowych amortyzacyjnych. — Wielce charakterystyczną jest ta gorączka projektów reform zasadniczych i to wielkie morze rzeczywistości, oddzielające świat bytu od planów ludzkich, snutych na powierzchni życia.

Sprawa studencka i okólnik ministra oświaty wywołały również masę projektów i wniosków w prasie rosyjskiej. Warto posłuchać głosów niektórych: „W prawidłowym i stałym wpływie profesorów na studentów — mówi *Nowoje Wremia* — okólnik bardzo słusznie widzi środek do usunięcia tego braku spójni między młodzieżą uniwersytecką a profesorami. Nie ulega wątpliwości, że gwoli rzeczywistemu wpływowi profesorów na studentów byłoby pożądane także przywrócenie poprzednich warunków istnienia samej korporacyi profesorskiej, zniesionej przez nową ustawę uniwersytecką, która zawiodła nadzieję autorów reformy uniwersyteckiej, myślących o akademickiej swobodzie wykładów, a natomiast zamieniła profesora na urzędnika, odbywającego przepisaną liczbę wykładów i wstępującego do ciała profesorskiego nie z powołania i wyboru współkolegów na polu nauki, lecz drogą nominacyi. W ostatnich latach władze zwierzchnicze ministeryum oświaty niejednokrotnie przychodziły do wniosku, że należy ponownie przyjąć zasadę wyborczą. Nadały one wydziałom prawo obsadzania wolnych katedr. Największy wpływ pojedynczych wybitnych profesorów na studentów nigdy nie dorówna temu oddziaływaniu, jakie mogłaby wywrzeć korporacya profesorska, jasno uświadamiająca poczucie obowiązku i konieczności ochrony spokojnego biegu życia akademickiego. Czyż z logicznego skojarzenia wypadków nie wysuwa się obecnie na porządek dzienny sprawa, ażeby tworząc zdrowe podstawy życia akademickiego, przywrócić mu również zdrowe korzenie, podcięte przez nową ustawę uniwersytecką, której jednym z głównych celów było także, jak wiadomo, położenie tamy zaburzeniom studenckim i która okazała się właśnie w zakreślonym celu nieodpowiednią?“

W dalszym ciągu *Birż. Wied.* krytykują system zajęć praktycznych, które dotąd nie są łącznikiem pomiędzy młodzieżą kształcącą się a profesorami. Jeden tylko rodzaj pracy tego rodzaju, zdaniem pisma, jest najważniejszy; ale ten już wychodzi po za granice „zajęć praktycznych“ i wymaga od profesorów wielkiego natężenia sił. Mianowicie chodzi tu o wspólne zwiedzanie więzień, zakładów antropometrycznych, studyowanie najciekawszych spraw w dziedzinie złodziej, uczęszczanie do sądów i pogadanki o procesach, wreszcie studyowanie sądownictwa w sądach i izbach sądowych. Byłoby to zbliżenie profesorów ze studentami wydziału prawnego. Dla przyrodników pismo wynalazło inny łącznik: wycieczki do miejscowości słynnych pod względem geologicznym, tudzież wyprawy celem badania fauny i flory. Dla filologów pożądane byłoby oglądanie starożytności muzealnych i architektonicznych. Z powodu zaś Towarzystwa naukowo-literackiego, projektowanego w drugim punkcie okólnika ministra oświaty, gazeta czyni takie uwagi: „Okólnik wspomina o referatach, które mogą być odczytywane w tych towarzystwach. Otóż te właśnie referaty, opracowane przytem na podstawie wspólnie odbytych wycieczek, mogłyby mieć znaczenie kształcące, a nadto silnie zacieśniałyby węzły między studentami a profesorami.“ W takim mniej więcej duchu zalecają i inne pisma domowe środki lecznicze.

Inny cyrkularz ministra oświaty, dotyczący unormowania liczby studentów w uniwersytetach, wywołała godne zaznaczenia, całkiem słuszne uwagi *Wracza*: „Szkoda, że ministeryum oświaty nie może walczyć z przepełnieniem uniwersytetów w sposób jedynie racyonalny i prawidłowy, tj. za pomocą wyznaczania sum pieniężnych na odpowiednie rozszerzenie budynków i na powiększenie liczby profesorów, lub na stworzenie nowych uniwersytetów. Jeżeli młodzież wybiera tę lub inną wszechnicę, to przyczyny tego zjawiska (oprócz wartości uniwersytetu) szukać należy śród wielu złożonych warunków osobistych i społecznych. Dlatego więc normowanie wyboru za pomocą środków zewnętrznych nie doprowadzi do pożądanych wyników.

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin 14 sierpnia.

Bunt służących. — Ich żądania. — Obrońca naiwności. — Zakazane pocałunki.

Z[illegible] jednomyślnie, iż przyszłego lata ani jedna matrona tutejsza nie odważy się wyjechać do wód, nie dlatego, aby stan zdrowotny miał się poprawić, aby rzeczywiste i urojone zdenerwowanie przestało grasować, a szanowne panie nie miały się nudzić, nie chciały szukać rozrywki i rozkoszy życiowych, ale dlatego, iż w tym roku podczas i dzięki ich nieobecności zaszedł fakt, niesłychany w kronice grodu „niedźwiedziego.“ Kaśki i Maryśki, kucharki i „młodsze,“ w napadach różowego humoru zaszczycane nawet przydomkiem tłomoków i flondor, zamiast zażywać słodyczy wakacyjnego wczasu i bezrobocia przy boku strażaka lub syna Marsa, postanowiły pomyśleć o polepszeniu swego bytu. Od tygodnia odbywają się codzień publiczne zebrania służących i podobnie jak kilka lat temu w Londynie mówiono o „revolution of the daughters,“ tak dziś stoi Berlin w znaku buntu pokojówek i kucharek. Prawdziwe to utrapienie! „Kwestya służących“ dokuczyła paniom już bardzo dotkliwie, jakkolwiek w innem znaczeniu. Odczuwano zupełny brak służących, które wyrywano sobie z rąk, nie bacząc na świadectwa i uzdolnienia. Patryarchalny charakter stosunku służącej do pani niezupełnie licuje z duchem naszego czasu. Dziewczyny wiejskie, zamiast podążać do „służby,“ wolą iść do fabryki, gdyż tu nie są wiecznie pod dozorem, zmuszone słuchać ciągle wymówek, docinków, łżeń i przekleństw, potwierdzanych niekiedy czynami, a nadto mają czas wolny po za określonym prawnie dniem roboczym i wreszcie nie są wystawione na pokusy uwodzicielskie panów i paniczów. Dotychczas przybywały na odsiecz rozpaczającym paniom dziewczyny z Poznania, Szląska i Łużyc. Przypuszczam, że co najmniej 25% tutejszych służących rekrutuje się z krajów polskich, których dziewczyny są znane z potulności i nieograniczonego posłuszeństwa, do czego przyczynia się po części ich pochodzenie z kraju obcoplemiennego i obcojęzycznego. W ten sposób „die verfluchten Pollacken“ i „Wasserpolacken“ ratowali w niedoli tutejsze damy. Lecz oto na horyzoncie pokazały się groźne chmury. Wprawdzie uprzejmi i usłużni reporterzy uspakajają, iż rokosz spełznie na niczem, a co najwyżej dostarczy wątku dla pysznej operetki lub pieprznego kupletu w rodzaju tego, który opiewa „pannę Józefę z Armii Zbawienia.“ Sądząc atoli z charakteru ruchu, osobistości chorążych i zachowania się uczestniczek zebrań, należy przypuszczać, iż mamy tu do czynienia nie z pretensyami „tyranek,“ opływających w niedostatki, lecz z żądaniami nieszczęśliwych niewolnic, opartemi na sprawiedliwości i ideałach emancypacyjnych. Służące przybywają na zebrania w kokardach czarno-biało-czerwonych, symbolizujących nastrój patryotyczno-urzędowy, aby zaznaczyć, iż nie solidaryzują się z żadnem stronnictwem politycznem. Naczelny dowódca kampanii, redaktor gazety służących *Unser Blatt* i dotrzymująca mu towarzystwa dentystka, panna Szlezyngier, powołują się na ideały apostoła Egidiego, na wymagania wyższej etyki. Służące słuchają na swych zebraniach z uwagą obrońców przeciwnego obozu, przyznając, iż trafiają się niekiedy wśród państwa bardzo pochlebne wyjątki, na których wszakże trudno oprzeć cały stosunek. Zewnętrzna więc strona ruchu, zdawałoby się, nie pozostawia nic do życzenia. Czegóż chcą rokoszanki? Naprzód umowa najmu służących podlega ustawie o czeladzi z r. 1810, a więc stanowczo przeżyła się. Pani przysługuje prawo odprawiania służby w dziewiętnastu wypadkach, podczas gdy druga strona może to czynić zaledwie w dziewięciu. Jeśli służąca opuszcza samowolnie miejsce, to policya może ją odszukać i sprowadzić z powrotem do państwa. Wolno jej odrzucić tylko te potrawy, których spożycie grozi życiu niebezpieczeństwem; nie powinna zatem w żadnym razie szemrać na wikt chociażby najgorszy. Policzkowana i bita może podać skargę, lecz bynajmniej nie stawiać czynnego oporu, chyba w obronie życia. Co zaś do obelg i obraz, to są one wyraźnie zastrzeżone i przewidziane przez kodeks, jako rzeczy niepodlegające karze, gdy pochodzą od państwa. Również byłby już wielki czas zastąpić świadectwa służbowe nowoczesnemi książkami roboczemi. Dalej służące nie chcą dłużej spać w komorkach i lochach lub na strychach, lecz żądają dla noclegu miejsca hygienicznego. Czyż mamy się dziwić, że człowiek, który ciężko pracuje, wymaga jednej godziny dziennie dla spaceru, a jednego dnia w tygodniu dla odpoczynku? Wreszcie biedne istoty protestują przeciwko temu, iż pomiata się niemi jak rzeczą, że pan i panicz posługują się niemi w większości wypadków jak narzędziem zaspokojenia potrzeb zmysłowych, a w razie nieszczęśliwych skutków chwilowego kaprysu wypędzają niebogę na cztery wiatry, pozostawiając na bruku wielkomiejskim bez pomocy. Jedna z mówczyń zapytywała przy oklaskach publiczności, dlaczego właściwie służąca z punktu widzenia moralnego ma się wyrzekać miłości i „Schatza“? Czem ona jest gorszą od tysiąca kapłanek ogniska domowego, które uprawiają flirt spokojnie pod okiem męża, zadowolonego

z powodzenia żony? Inna znowu zwróciła uwagę na to, iż kantory najmu służących przypominają rzymskie targi niewolników i są hańbą dla kultury XIX-go stulecia. Wszystkie te skargi wyrażają rzetelną prawdę; nie dodam więc od siebie żadnych komentarzy, z wyjątkiem jednego: „tout comme chez nous."

„Są jeszcze sędziowie w Berlinie, a zwłaszcza na szczęście dla moralności jest jeszcze w berlińskiej wszechnicy sędzia uniwersytecki, który pełni gorliwie służbę w winnicy moralności. Kilku studentów, czujących w piersi swej iskrę natchnienia poetyckiego, przedsięwzięło dorocznym zwyczajem wydanie almanacha. Ponieważ zwykłym trybem rzeczy w kieszeni poetów wiatr szumi, więc młodzi wierszokleci zaapelowali do ojcowskich serc zwierzchności. Za wstawiennictwem znakomitego historyka literatury, Eryka Schmidta, dziekan uchwalił wesprzeć goliznę poetycką 500 markami ze szkoły uniwersyteckiej. Lecz rektor i profesorowie strzelają, a pan sędzia kule nosi. Będąc mianowanym przez ministeryum, wtrąca się on do wszelkich spraw i decyduje w duchu wstecznym, niekiedy średniowiecznym. Tak np. sprzeciwił się dopuszczeniu kobiet do uniwersytetu lub podszczuwa uniwersytet przeciwko nieprawomyślnym docentom: w danym zaś razie zażądał cenzury dla almanachu poetyckiego, przeczuwając widocznie rzeczy zdrożne. Po przestudyowaniu rękopisu nie omieszkał w imieniu prawa zaprotestować przeciwko popieraniu wszeteczeństwa, są bowiem w almanachu rzeczy, o których niemowlę uniwersyteckie „jeszcze nie powinno wiedzieć." Proszę posłuchać: jeden z liryków opowiada o parze zakochanej, która na przechadzce spostrzega bociana i czerwieni się. Pan sędzia wprawdzie nie wiedział, że autor poematu kieruje się na akuszera, musi zatem z embryologii posiadać co najmniej takie same wiadomości, jak pierwsza lepsza pensyonarka.

Policya tutejsza, zbudowana przykładem uniwersyteckiego Argusa, będącego „okiem i uchem" wszechnicy, postanowiła wziąć się energiczniej do wyplenienia kąkolu zepsucia. W tej myśli skonfiskowała książkę Pawła Remera, znanego czytelnikom *Prawdy* ze szkicu zamieszczonego przed rokiem. Książka Remera zatytułowana „Pod obcem słońcem," opisuje przygody podróżnicze autora. Ten ostatni, na str. 35, całuje pannę w nocy na pokładzie okrętowym, na str. 68 znowu całuje donnę w La Guiara, padając przed nią na kolana i kryjąc głowę swą w fałdach jej sukni, na str. 150 zaś — nie dość tego! — w Curaçao ugania się za murzynką. Zwłaszcza tego ostatniego faktu policya nie może darować autorowi ze względu na niebezpieczeństwo połączone z krzyżowaniem ras. Za to toleruje ona „Cafe national" i dziesiątki innych nocnych kawiarni, gdzie zupełnie jawnie odbywa się targ na mięso kobiece i patrzy przez palce na sztukę dawaną w „Nowym teatrze," gdzie zamężna aktorka rozbiera się na scenie i kładzie się do łóżka, w którem wskutek *qui pro quo* spoczywają już pewien pan i pani.

H. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

W sprawie studentów.

W dalszym ciągu rozstrzygnięcia sprawy rozruchów studenckich wydane zostały dwa nowe postanowienia. Pierwszem z nich jest Najwyższy rozkaz, dotyczący służby wojskowej, który orzeka: „1) Wychowańcy wszystkich zakładów naukowych, którzy wewnątrz lub zewnątrz nich wywoływali tłumne rozruchy, pobudzali do nich, za pomocą zmowy uparcie uchylali się od zajęć szkolnych lub podmawiali do takiego oporu, mają być usunięci z owych zakładów i zaliczeni do wojska dla odbycia w niem służby, chociażby nawet mieli prawo do ulg z powodu stanowiska rodzinnego i wykształcenia, nie dosięgli wieku popisowego lub też wyciągnęli numer uwalniający.

Uwaga. Rozporządzenie to nie oswobadza winnych spełnienia czynów przestępnych, podlegających dochodzeniu na mocy ustaw istniejących, od odpowiedzialności na zwykłej drodze.

2) Dla rozpoznania spraw o wykroczeniach wskazanych w poprzednim paragrafie, przy każdym z wyższych zakładów naukowych ustanowiona będzie osobna rada, składająca się z prezesa i członków ciała pedagogicznego, którym obowiązująca ustawa nadaje władzę dyscyplinarną, oraz przedstawicieli ministeryów wojny, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości."

P. minister oświaty zaś wydał okólnik do kuratorów okręgów naukowych, w którym powiada: „Dzisiejsze stanowisko przedstawicieli inspekcyi niezupełnie odpowiada jej przeznaczeniu, co przejawia się szczególnie wyraźnie w razie jakiegokolwiek niepokoju wśród studentów. Radząc sobie z lepszym lub gorszym skutkiem przy utrzymywaniu porządku w spokojnych czasach, inspekcya nie posiada jednak dostatecznej powagi wśród uczącej się młodzieży, aby zdołała oddziałać na nią należycie, ilekroć cośkolwiek naruszy spokojny bieg życia akademickiego. Wprawdzie dzieje się to w przeważnej mierze pod wpływem przyczyn leżących po za obrębem władzy inspekcyi, ale po części z tego powodu, że ona, ograniczając swe czynności głównie na przestrzeganiu zewnętrznego porządku w murach zakładu naukowego, nie wnika dostatecznie w różnorodne potrzeby studentów i wogóle mało się troszczy o wytworzenie moralnej z nimi spójni. Wobec tego uważam za rzecz pożądaną, aby przedstawiciele inspekcyi nie poprzestawali na czuwaniu nad porządkiem zewnętrznym, lecz przyjęli na siebie obowiązek życzliwej opieki nad studentami, okazując im pomoc tymi sposobami i środkami, jakimi inspekcya może rozporządzać: wynajdywaniem zajęcia, wskazywaniem wygodnych mieszkań i odpowiednich jadłodajni, dostarczaniem pomocy lekarskiej chorym itp. W tej myśli należy między innemi zwrócić szczególną uwagę na oględny wybór pomocników inspektora i powoływanie na urzędy te, o ile możności, osób z wyższem wykształceniem uniwersyteckiem, odpowiadającem specyalności tego wydziału, na którym dany pomocnik ma być czynny, tak, aby mógł porozumiewać się ze studentami także w zakresie zajęć naukowych. Niezależnie od tego trudno nie zwrócić uwagi na niższych służących inspekcyi, na których od pewnego czasu słyszeć można nie zawsze bezzasadne skargi. Według wiadomości posiadanych w ministeryum, w niektórych uniwersytetach inspekcya daje owym służącym takie odpowiedzialne i drażliwe zlecenia, które z jednej strony nie licują z ich rozwojem umysłowym i stanowiskiem, a z drugiej powodują nadużycia. Tu należy np. dozór nad studentami w przerwach między wykładami, notowanie uczęszczających na wykłady, czynienie uwag o przestrzeganiu przepisów co do ubrania itp. Nie pochwalając takiego stanu rzeczy, uważam za stosowne zabronić dawania w przyszłości podobnych zleceń niższym służącym inspekcyi, którzy nie powinni pod żadnym pozorem spełniać obowiązków, należących w gruncie rzeczy do pomocnika inspektora."

Wychodźctwo z Warszawy.

Regułę, według której każda idea nosi w sobie truciznę, która ją prędzej lub później zabija, zastosować można również do wszelkich spekulacyj, mających na celu wyzysk. Jeremiaszom, opłakującym coraz wyżej szrubowane ceny mieszkań w Warszawie zdawało się, że temu ciągłemu obciążaniu jednego z najważniejszych warunków życia położy tamę jedynie jakaś siła, porządkująca stosunki społeczne. Tymczasem jak zwykle, tak i w obecnym wypadku instynkt samozachowawczy człowieka wynalazł sobie obronę. Ponieważ ogół, w ogromnej swej większości biedny, nie mógł płacić takich cen za komorne, jakich nie zna cała prawie Europa, więc naprzód energiczniejsze jednostki, a potem ich naśladowcy zaczęli szukać schronień po za Warszawą. Ułatwione środki komunikacyjne, skutkiem zniżonych taryf na drogach żelaznych, pomnożenie ilości pociągów i przystanków oraz kolejek podjazdowych, wyprowadziły już mnóstwo rodzin po za miasto na stały pobyt. Ruch ten wzrasta ciągle, chociaż jest błędnie przedstawiany. To bowiem, co dzienniki nazywają rozwojem letnich mieszkań, jest właściwie tworzeniem się stałych siedzib. Zwłaszcza urzędnicy kolejowi, posiadający bilety wolnej jazdy, licznie przenoszą się pod Warszawę. Ministerya rolnictwa i dóbr państwa opracowały projekt wypuszczenia w 99-letnią dzierżawę gruntów i lasów rządowych pod budowę domów. Na samą wieść o tem znalazło się wielu chętnych. Ruch ten, zasilany z rozmaitych źródeł, pójdzie dalej i w rezultacie odciągnie z Warszawy masę ludności i spowoduje niewątpliwie spadek cen mieszkań do tego poziomu, jaki się ustalił we wszystkich wielkich miastach europejskich.

Stracone strzały.

Ogromna wrzawa rozbrzmiewa w prasie warszawskiej, pobudzonej przez poznańską przeciwko hazardowi. Nie rozumiemy jednak dokładnie, o co w niej chodzi: czy o grę karcianą wogóle, czy też o pewne jej rodzaje. Jeżeli tylko o te ostatnie, to doprawdy szkoda czasu i atłasu, wszystkie bowiem: maki, pokery, sztosy — czy jak tam nazywają się rozmaite sposoby gwałtownego przerzucania pieniędzy z kieszeni nieszczęśliwych do szczęśliwych — stanowią zaledwie drobną cząstkę zarazy, która grasuje w naszem społeczeństwie pod postacią zabijania czasu bezmyślną walką na zielonym stoliku. Hazard uprawiają jednostki, grę karcianą ogół. Właściwie zatem bardziej nas obchodzi druga, niż pierwszy, któremu świeżo wzniesiono kosztowną świątynię. Ale czy najsilniejsze pioruny papierowe poskutkują coś w tej sprawie? Wątpimy. Gdybyśmy nic innego nie pisali, tylko filipiki przeciwko kartom, pozostaną one dalej główną zabawą towarzyską. Mamy nawet pewne powody do twierdzenia, że najzapamiętalsi pogromcy kart w prasie, skończywszy swoje artykuły, zasiadają do... winta. Jest to więc naprzód wyprawa dość zawodna, a powtóre jest to okłamywanie siebie i innych, robienie miny Katonowskiej wtedy, kiedy w głębi duszy siedzi utajony duch przekory, który się z niej serdecznie śmieje. Gdy społeczeństwo zacznie poważnie myśleć i pracować, przestaje „zabijać czas" kartami, dochodzi wszakże do tego stanu nie pod strachem krzyków dziennikarskich, lecz pod naciskiem konieczności życia i wewnętrznych pobudek swej istoty.

Nowa szkoła rolnicza.

Zmarły ziemianin z Ciechanowskiego, Klonowski, cały swój majątek ziemski, Sokołówek, przeznaczył na założenie niższej szkoły rolniczej. Dzięki więc temu obywatelowi, który zrozumiał potrzeby rolnictwa, będziemy mieli drugą szkołę dla kształcenia zawodowego niższych oficya-

łistów rolnych. Zapis atoli, jakkolwiek jest hojny i tworzy podstawę, nie wystarcza jednak na całkowite urządzenie i utrzymanie zakładu. Trzeba ażeby ziemianie co rychlej pospieszyli z pomocą zbiorową i nie rozkładając sprawy na raty długoletnie, natychmiast rozwinęli zabiegi. Nasi ziemianie ciągle biadają na niedołęstwo swych oficyalistów. Istotnie, brak odpowiedniego przygotowania tych pracowników jest przyczyną znacznych strat ziemian, bądź skutkiem małej wydajności roli, bądź też nieumiejętnego gospodarowania w szczegółach. Weźmy choćby taki przykład: Wielu ziemian nie używa ulepszonych narzędzi i innych środków gospodarowania dlatego tylko, że niedołężni oficyaliści psują je i tym sposobem narażają właścicieli na ogromne straty. Zakładanie tedy średnich szkół rolniczych może w znacznej mierze zaradzić złemu. Ale owoce kształcenia fachowego będą widocznie w całym kraju dopiero wtedy, gdy każda gubernia zdobędzie się na niższą szkołę rolniczą, bo zadaniem tych zakładów powinno być wytwarzanie fachowców czysto miejscowych, dokładnie obeznanych, za pośrednictwem nauki praktycznej, z geograficznymi i ekonomicznymi warunkami okolicy.

DWA GROBY.

Władysław Kozłowski.

Nie często, ale od czasu istnienia *Prawdy*, jej czytelnicy spotykali pod artykułami filozoficznymi nazwisko tego człowieka, który należał do najpoważniejszych u nas pisarzy i najzacniejszych ludzi. Cichy, skromny, szczerze nauce oddany, obcy wszelkim celom i drogom prowadzącym do zwycięztw w walce o byt, pracą nauczycielską zarabiał na skromny chleb, a cały czas wolny od tych zajęć poświęcał gruntownym i rozległym studyom. Na tle gwarliwego Lwowa, gdzie najmniejszy talent i najmniejsza wiedza szybko mają swoje trąbki sławy, ten ukryty w cieniu badacz odbijał się niezwykłym widokiem. Ale za to kto o nim wspominał, wspominać musiał z szacunkiem.

Kozłowski uprawiał specyalnie niwę psychologii, a należał w niej do szkoły pozytywno-ewolucyjnej. Jakim był w życiu, takim również w pismach: prosty, poważny, daleki od najmniejszej blagi, ale w swych przekonaniach niewzruszony i konsekwentny. Artykuły jego — które oprócz *Prawdy* pomieszczał także w *Ateneum* — nie odznaczały się ani błyskotliwością, ani wytwornością stylu: kto wszakże szukał w nich rzeczy a nie pustych słów i frazeologicznego popisu, ten znalazł zawsze wykład godny katedry uniwersyteckiej.

Z głębokim też żalem żegnamy ubywającego z naszych szeregów zacnego i niezmiernie cennego współpracownika, który blizko przez dwadzieścia lat z niezmienną przyjaźnią, z serdeczną życzliwością i z ogromną wiedzą popierał *Prawdę* czystem i dzielnem piórem. Na grobie też jego składamy wyrazy czci i wdzięczności.

Konrad Chmielewski.

W Nałęczowie zmarł kierownik tego zakładu, dobry i sympatyczny człowiek a bardzo troskliwy lekarz. Dziś chyba już niema ludzi, którzyby nie pojmowali wysokiego znaczenia tych przymiotów doktora dla chorych, których nieraz uzdrawia jakieś miłe ciepło, jakieś serdeczne tchnienie, płynące stale od lekarza i wywołujące skutek niemożliwy do osiągnięcia środkami aptecznymi. Chmielewski miał z natury ten dar w niezwykłym stopniu. Dzięki swej słodyczy i rzeczywistej bezinteresowności, której liczne wypadki znaliśmy bezpośrednio, był on bardzo odpowiednim kierownikiem stacyi kuracyjnej. Kto sam doświadczył lub słyszał o grubiaństwach, kaprysach i zdzierstwach wielu słynnych doktorów w instytutach leczniczych, z których pacyenci uciekali z pogorszoną chorobą i rozstrojonymi nerwami, ten musi ocenić wartość Chmielewskich. Sercem żył, na serce umarł, sercem pożegnać go winniśmy.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

II *)

Ks. Szczerbatow: *Kampania polska księcia Paskiewicza w 1831 r.* (przekład z francuskiego). Warszawa, skład główny w księgarni Jana Fiszera, 1899, str. III i 199.

Nie do nas należy ocena wojskowych zdolności Księcia Warszawskiego hrabiego Paskiewicza-Erywańskiego. To jedno jest rzeczą pewną, że posiadał on ogromną przewagę nad swoim poprzednikiem, hr. Dybiczem Zabałkanskim: miał plan — zły, dobry, zawodny, niezawodny — mniejsza o to: dość tego, że przyjęty na wspólnej naradzie w Petersburgu. Natychmiast więc po przybyciu do Pułtuska kazał głównej swej armii maszerować ku granicy pruskiej — a dwom oddzielnym korpusom, Gołowina i Rudigera zabawiać i odciągać Polaków: pierwszemu, w Podlaskiem i Lubelskiem, drugiemu nad górną Wisłą, około Józefowa i Kazimierza. Hr. Toll, szef sztabu Paskiewicza i generał Neidhardt, jego kwatermistrz generalny, a za nimi historycy 1831 r., głównie niemieccy, wprost utrzymują, że dyspozycye, wydane w tym celu przez feldmarszałka niemożliwemi były do wykonania bez pozwolenia *Polaków* i bez przymierza z nimi. Oczywiście przesada złośliwa i niedorzeczna; zredukować ją należy przynajmniej do połowy. Co do reszty, nie ulega najmniejszej wątpliwości i na to w raportach Paskiewicza są dowody niezbite, nielękające się konfrontacyi, że głównodowodzący i niebawem namiestnik Królestwa zawdzięcza błędom, opieszałości i anarchii Polaków sporą część swoich zwycięztw, uwieńczonych niezliczonem mnóstwem chwil nad wyraz miłych i rozkosznych. Wpierw już napomknęliśmy o jego flankowym marszu z Pułtuska i Ostrołęki ku granicy po linii skręconej w Płocku na Lipno: według świadectwa hr. Tolla i większości historyków 1831 roku, „podobny był ten pochód do rozsypki nocnej,“ drogami niemożliwemi do przebycia, po mostach i groblach doszczętnie popsutych przez nieustające deszcze ulewne. Że Polacy pozwolili Paskiewiczowi spokojnie dojść do Płocka, to jeszcze tłomaczy się zapewne do pewnego stopnia nadzieją przecięcia jego komunikacyi z Cesarstwem, w razie gdy za daleko zabrnie w głąb płaszczyzn mazowieckich, ale że mu nie zakwestyonowali przepustu z Płocka do Lipna, to już graniczy z niedołęztwem — gdyż posiadanie w takiej sytuacyi Modlina upoważniało do wszelkich, najfantastyczniej nawet śmiałych zwrotów zaczepno-odpornych. Następnie, skoro nie chciano czy nie zdążono przeciwnika szachować pod Pułtuskiem, Płockiem, Płońskiem lub Lipnem, to przecież posunięcie jednego, z korpusów ku przeprawie, której miejsce, jak to jednozgodnie stwierdzają Paskiewicz i Prądzyński, zawczasu i dobrze było Polakom wiadome, kończyło grę matem doraźnym. Zmęczone i zdziesiątkowane chorobami wojska Paskiewicza nie miały co jeść, zbliżywszy się ku przeprawie. Pomimo usiłowań Peukera i Tęgoborskiego, wysłanych do Prus dla zakupu w Gdańsku i Toruniu żywności i furażu, pomimo zgromadzenia i nabycia na własność w Poznańskiem 4,000 wozów, zajętych bez przerwy dostarczaniem nad granicę ziarna i mąki, pomimo usilnych zabiegów dyplomacyi rosyjskiej w Berlinie, zmierzających do ożywienia, za gotówkę, rzutkości pruskiej do mielenia żyta i wypiekania sucharów, Paskiewicz nie mógł ręczyć, czy dociągnąwszy do Wisły pod samą granicą, znajdzie tam cokolwiek do włożenia w usta znękanemu i zgłodzonemu żołnierzowi. Śmiertelnym kłopotom naczelnego wodza armii rosyjskiej król pruski okazywał jeszcze trochę współczucia, przynajmniej w serdecznych listach do Najjaśniejszego swojego Szwagra, Cesarza Mikołaja I-go, ale jego ministrowie, Ancillon, Alwensleben, Lotum i Schuckmann „korzystali z każdej sposobności, aby zaznaczyć swą bezwzględną neutralność w wojnie Rosyi z powstańcami“ — jak się wyraża hr. Szczerbatow. Pretekstem „do małodusznej tej obojętności“ była kwarantanna od cholery, szerzącej się w Królestwie Polskiem. W takiej sytuacyi, hr. Toll śmiało mógł zapytać Paskiewicza: „A cóż teraz będzie, gdy po zbliżeniu się nareszcie do prawego brzegu Wisły ujrzymy na jej brzegu lewym armię polską, uszykowaną do boju lub debuszującą z lasów od strony Łowicza i Sochaczewa?..“

Jakaż była radość, jakie przyjemne zdumienie, gdy w d. 13 lipca, dobrawszy się nareszcie do Wisły, pod Osieckiem, o dwie wiorsty od granicy pruskiej, w miejscowości, która, jak to Paskiewicz zawczasu wyświetlił przed Cesarzem, „na naszych mapach pokazaną była jako należąca do Prus, faktycznie jednak wchodziła w obręb Królestwa Polskiego“ — ujrzano, że lewy brzeg był pusty—zupełnie pusty; zaledwie gdzieś tam około Raciąża stało parę czat kosynierskich—nic więcej. Należało jednakże spieszyć. Zwiezione z takiemi mękami i trudami 10,000 czetwierti mąki, szybko mogły być zjedzone. Generałowie Dehn, Pahlen i Gorczaków żywo zabrali się do budowania pływającego mostu, który był gotów 16 lipca; pierwszy na lewy brzeg Wisły przeszedł generał Gurko z 2-gą brygadą 2-ej dywizyi pieszej. Nikt się nie zjawił na jego spotkanie; przepływano sobie rzekę na promach, szukano najbezpieczniej brodów, jak podczas zwykłych ćwiczeń. Po przeprawie pojedyncze korpusy wypoczywały jak na majówce...

I cóż w ciągu całego tego czasu robiło wojsko polskie skompletowane, po Ostrołęce, powiększone, wymyte i wyczesane z kurzu i błota ostatnich wypraw? Wojsko polskie, moralnie zostawało od bitwy ostrołęckiej pod wszechwładnym wpływem i parciem opinii publicznej, tj. powtarzało echa i plotki kółek warszawskich, sejmowych, klubowych, koncertowych, ulicznych i knajpiarskich, głośno pomawiających Skrzyneckiego ni mniej ni więcej tylko o zdradę ojczyzny i sprawy. Ci, co go rzeczywiście widzieli pod Ostrołęką, lecącego po razy kilkanaście, z rozognioną twarzą, z pałającemi oczyma, na czele pułków skaczących w gąszcz nieprzyjaciela luźnie i bez związku, więc na zgubę nieuchronną — milczeli, święcie przekonani, że wódz naczelny naprawdę postradał zmysły. Każdy więc obecnie i wszyscy razem zaczęli radzić nad

---

*) Patrz № 21 Prawdy.

ocaleniem kraju i układać projekta co do jednego absolutnie doskonałe — tylko nie razem. Skrzynecki, człowiek zacny, lecz nad potrzebę ambitny i po polsku dbały o honor i dobrą sławę osobistą (tj. właściwie o ludzkie gadanie), postanowił dać całkowite zadośćuczynienie opinii publicznej w Warszawie. Urządził się po raz drugi jak w Ostrołęce. Ponieważ jedna część „narodu," obradującego w Warszawie, koniecznie żądała niedopuszczenia Paskiewicza do Wisły i wyrzucenia go do Prus, naczelny wódz polski zgodził się na wyprawienie w Płockie pieszej dywizyi Milberga i jazdy Turny, ogółem do 11,000, dla szarpania boków i gryzienia żeber armii rosyjskiej; ponieważ druga, głównie demokratyczna i demagogiczna połowa Polski, sejmującej pod szańcami Pragi i Woli, domagała się skazania Paskiewicza *nie* na banicyę, lecz na utopienie w Wiśle, Skrzynecki chętnie przyzwolił i na to: zwołano pospolite ruszenie z województw kaliskiego i warszawskiego, które uzbrojono w kosy, siekiery i pałasze, tłumnie się stawiło na lewym brzegu, pod wodzą najgłośniejszego z ówczesnych krzykaczy warszawskich, Zaliwskiego, któremu Skrzynecki, nie bez przekąsu pod adresem „wszechwładnej woli ludu," dodał dwie kompanie liniowe i dwa działka. Wreszcie z uwagi, że przeludniona od znakomitych strategów Warszawa, nie poprzestając na krytyce operacyj wojskowych, potrzebowała jeść, pobiegł upędzać się za korpusem Gołowina, który w Lubelskiem zabierał wszystko, co tam jeszcze przed żniwami pozostało.

Skutki rozproszenia dopasowały się najściślej do niezłomnych na wojnie praw mechaniki. Lekkie oddziały partyzantki płockiej podrapały mniej więcej dotkliwie Paskiewicza w kilku miejscach, Jaraczewski pod Płońskiem, Kruszewski pod Młynarzami, Mycielski i Kołysko pod Raciążem, ale główne siły Milberga i Turny nie zdołały z pod Modlina wybrnąć na szerzyznę z powodu dróg, które po przejściu armii rosyjskiej bez śladu zginęły z oblicza ziemi pod błotem i powodzią. Zaliwski, gościnnie przyjęty w lasach między Grodziskiem i Błoniem, nie posunął bezpiecznie rozłożył się w Łowiczu; pospolite ruszenie, postawszy nieco pod Kowalem, wróciło do żniw, a zawziętsze kupki krakusów porozpędzali lub pozabierali kozacy generała Gurki. Skrzyneckiemu i Chrzanowskiemu powiodło się z Gołowinem o tyle, że zabrali mu 1,200 niewolnika, jedno działo i trochę rekwizytów... Byłoby tego dość na urządzenie jednego z tych widowisk, do których Warszawa tak się przyzwyczaiła i bez których nigdy żyć nie mogła. Ale równocześnie nadbiegła wieść, że Paskiewicz, dostawszy się bez strzału na lewy brzeg Wisły, roztoczył się na równinach kujawskich. Do pary z tą wiadomością kapitanowie Jasiuk i Skotnicki przywieźli, w kilkadziesiąt koni, potwierdzenie pogłosek o rejteradzie Chłapowskiego, Gielguda i Rolanda do Prus. Tłumy mają wielką gębę, ale większe jeszcze oczy. Gorączka ogarnęła raz jeszcze Warszawę i wzmagała się odtąd ciągle, szczególnie gdy rozgłoszono zostały (pod koniec lipca) depesze z Paryża, oznajmiające niedwuznacznie, że państwa zachodnie stanowczo tym razem umywają ręce od wszystkiego, co się nad Wisłą stało... i stać się może. Paskiewicz wielce pokrzepiony na duchu zarówno przeprawą szczęśliwą, jak i deklaracyami mocarstw, nie spieszył teraz: miał co jeść. „Począwszy od 21 lipca—pisze ks. Szczerbatow— zgodnie z rozkazami feldmarszałka, 5,000 ludzi zajętych było w dzień i w nocy, pod nadzorem komendanta grenadyerów, Szipowa, wypiekaniem sucharów w 350 piecach umyślnie zbudowanych. W ciągu pięciu dni 10,000 czetwierti mąki zamieniono na suchary, podczas gdy w Prusiech, pomimo nadludzkich wysileń Tęgoborskiego, użyto czterech miesięcy na przygotowanie takiejże ilości sucharów... Wkrótce zabezpieczono pod tym względem przyszłość armii rosyjskiej po nad wszelkie obawy, również dzięki pieczołowitości głównodowodzącego. Zamiast próśb i zabiegów dyplomatycznych w Berlinie, feldmarszałek kazał ogłosić w prowincyach zajętych przez jego wojska, że płaci gotówką powyżej cen istniejących za wszelką żywność i furaż. Zmłócono zboże na pniu i przywieziono.

Zachmurzał się coraz bardziej widnokrąg losów narodu, o ile one wiązać się mogły z powstaniem, które w wieku XIX stać się miało najdonioślejszem ze wszystkich wstrząśnień, jakie w burzliwem tem stuleciu zakłóciły stosunki prawno-polityczne na ziemiach słowiańskich. A wszakże, dla oręża polskiego nie wybiła jeszcze, po dopełnionej przeprawie Paskiewicza, ostatnia złowroga godzina. Położenie armii rosyjskiej po przejściu Wisły było niebezpieczniejszem jeszcze, być może, niż przed przejściem. Dalszy jej ruch skrzydłowy, nie kończył się po przeprawie; jak wpierw lewe skrzydło, tak teraz prawe wystawione było na ciosy przeciwnika: niebezpieczeństwo zaś było tem większe, że teraz Paskiewicz miał za sobą tę samą Wisłę, która go przedtem jak pancerzem osłaniała z przodu. Nie palił też za sobą mostów; osadzić je owszem musiał tak silnie, że z sobą zabrać mógł zaledwie do 60,000 ludzi rozwartej broni. Takiemiż siłami rozporządzać obecnie mogło i powstanie, koncentrujące się pod Warszawą, na linii Bzury, od Sochaczowa do Łowicza. Koncentrowało się jednak bardzo opieszale wśród powszechnego przeciwko Skrzyneckiemu oburzenia, które kluby i dzienniki („Nowa Polska," „Gazeta Polska" i nawet rządowy „Dziennik powszechny," redagowany przez Chłędowskiego) szerzyły głośno, a Prądzyński podniecał insynuacyami i intrygami pokątnemi. Naciskowi gawęd ulega w końcu i sam sejm, który na wniosek Bonawentury Niemojowskiego uchwala (24 lipca) zwołanie nadzwyczajnej, niepraktykowanej w chwilach tak krytycznych rady wojennej, złożonej z członków rządu, delegatów izby poselskiej, naczelnego wodza i podwładnych mu generałów. Zanosiło się na sąd doraźny, na debaty publiczne w obliczu tryumfującego przeciwnika — pociągano Skrzyneckiego do tłomaczenia się z niepojętego dopuszczenia, bez wystrzału, przeprawy przez Wisłę. Niemojowski nagle zachorował. Skrzynecki nie dopuścił do głosu generałów Prądzyńskiego i Sierawskiego, gotowych do wytoczenia skargi, z Paryża nie nadeszły jeszcze depesze rozstrzygające kwestyę i wszystko znowu poszło w odwłokę, na licytacyę języków krasomówczych, demoralizujących wojsko. Skrzynecki rozpoczął energiczną wojnę.. z motłochem i gazetami... Otrzeźwiła go dopiero formalna odprawa francuskiego ministra Sebastianiego... Wtedy energicznie zabrał się do swego rzemiosła i zanim go zniosła i zatopiła nowa fala „rozgadanego pospolstwa," wydał świetną odezwę do narodu, ściągnął na linię Bzury do 50,000 chętnego jeszcze do boju wojska (koni przeszło 9,000, dział 140), przebaczył Prądzyńskiemu i powoławszy go wraz z Umińskim do czynnej służby, sam natychmiast po zwołanej raz jeszcze radzie wojennej (31 lipca) wyruszył do Sochaczewa. Rząd powstańczy wysłał jednocześnie do Paryża *ultimatum*, zapowiadające bitwę walną „na śmierć i życie," rozkazywał swej misyi — na wypadek niewątpliwej zresztą odmowy — opuścić stolicę nadsekwańską. W Warszawie wszakże, zanim się doczekano tej bitwy walnej, zaszedł wypadek, który dostarczywszy miastu, na godzin niespełna trzy, upojenia radosnego, przyczynił się do stanowczego upadku Skrzyneckiego i pozostawienia wojska bez wodza. Z Litwy wrócił generał Dembiński, wiodąc za sobą 5,000 wojowników — resztę pobitych lub rozproszonych powstań lokalnych i sukursów z Królestwa, sięgających liczebnie do 20,000... Skądże powód do oklasków i łez rozczulenia? Podnoszono pod niebiosa zasługi, męztwo, waleczność rozum i genialność Dembińskiego w jedynym celu poniżenia i podkopania Skrzyneckiego... i to w przededniu ostatniej, najwyższej stawki orężnej!..

W d. 31 lipca armia rosyjska zatrzymała się w Gombinie i stanęła w pobliżu armii polskiej, skupiającej się między Sochaczowem, Błoniem i Łowiczem. „Przeprawa przez Bzurę — pisał Paskiewicz — przedstawi niemało trudności dla armii rosyjskiej, gdyż będziemy zmuszeni w pewnych (naturą wskazanych, więc z góry wiadomych) punktach, debuszować w obliczu nieprzyjaciela. Dla uniknięcia niebezpieczeństwa ataku od czoła, maszeruję do Łowicza." W Łowiczu stał właśnie Zaliwski. I owóż naraz podjazdy rosyjskie prawego skrzydła donoszą, że Polacy opuścili Łowicz bez walki... Feldmarszałek skorzystał natychmiast z tej nieprzewidzianej okoliczności i obsadził Łowicz oddziałem generała Murawjewa. W nocy z d. 31 lipca na 1 sierpnia Skrzynecki przybył do Rybna. Wydał już rozkazy do ataku ogólnego, ale gdy się dowiedział, że Zaliwski opuścił Łowicz i że Rosyanie, zająwszy to miasto, przekroczyli linię Bzury, zrzekł się ataku w obawie, że może być odciętym od Warszawy i cofnął się za Rawkę...

Rajczyc.

PRZYCZYNKI DO PRAHISTORYI POLSKI.

II. Połabszczyzna.

Wychodząc z zasady, iż zrozumieć rozmiary zaludnienia Polski pierwotnej oraz dzielnic ościennych jest rzeczą jaknajwiększej wagi przy rozpatrywaniu jej początków, powracamy jeszcze raz do tego przedmiotu i między innemi winniśmy dodać jeszcze parę uwag do wywodów poprzedniego naszego artykułu. Przy obrachunku ludności Pomorza (zachodniego) trzymaliśmy się Herborda. Ale oprócz tego kronikarza mamy jeszcze dwóch innych, podających szczegóły o życiu św. Ottona. Są to Ebo i mnich z Priefling. Są oni w liczbach swoich skromniejsi. Ebon, mówiąc o działalności wspomnianego kapłana, zaznacza, że suma nawróconych pogan podczas pobytu biskupa bamberskiego w Julinie wynosiła 22,156. Są pewne wątpliwości, czy liczba ta obejmuje nietylko wszystkich poprzednio nawróconych wraz z mieszkańcami Julina, czy też bez nich. Ale w obu przypadkach liczba neofitów wynosiłaby zaledwie jedną trzecią, względnie połowę tego, co wypadło nam przy posiłkowaniu się jedynie danemi Herborda. Mnich z Priefling jest jeszcze mniej rozrzutny co do liczb: zaznacza on, iż w Pyrisie św. Otto nawrócił tylko 500, zamiast 7,000, które figurują u Herborda, dla Kamina podaje 3,585, wówczas gdy według poprzedniego obliczenia wypadło nam przeszło pięć razy tyle; wreszcie dla ogółu nawróconych przez apostoła podczas pierwszej jego podróży na Pomorze wyznacza tylko 22,165, tj. z niewielkiem odchyleniem liczbę znajdującą się u Ebona nieco wcześniej. Liczby te są dla nas wiarogodniejsze niż otrzymane w poprzednim artykule. Dałyby one, wobec przyjmowania chrześciaństwa przez Pomorzan całą gromadą, liczbę jeszcze niższą, niż wyprowadzona poprzednio. (Chyba byśmy przypuścili, iż samo nawracanie nie było tak tłumne, jak to wy-

nika z opowiadań Herborda). Dlatego to poprzednio rzekliśmy, iż ludność Pomorza wahała się prawdopodobnie w granicach pomiędzy dzisiejszą Częstochową a Łodzią. Rezultat ten mógłby nas zdziwić, bo Pomorze było rozległe, a nadto posiadało miasta handlowe, jak Szczecin i Julin (Wolin), gdyby nie to, iż Pomorzanie siedzieli wzdłuż wybrzeża i ujścia Odry, a dalsze przestrzenie były prawdopodobnie bardzo nieznacznie zaludnione albo przedstawiały wręcz bezludną knieję.

Nastręcza się tutaj jeszcze inne zagadnienie, mianowicie o rozmiarach plemion polabskich, których walka z Niemcami znalazła takie uwzględnienie w kronikach. Do rozwiązania tej kwestyi mamy dwa punkty wyjścia.

Z jednej strony możemy posługiwać się danemi, zaczerpniętemi ze znajomości stosunku, jaki istnieje pomiędzy rozmiarami zaludnienia a techniką zarobkowania. Gęstość zaludnienia dla każdej epoki rozwoju dziejowego, przy istnieniu określonych narzędzi i warunków topograficznych, przedstawia wielkość, którą można z pewnem prawdopodobieństwem obliczyć, posiadając dane z innych miejsc. Naturalnie, obrachunek będzie mocno podejrzany, jeśli zechcemy uważać liczby jego za bezwzględne, ale względnie, w stosunku do innych epok, będzie swoją drogą posiadał pewną wartość. Otóż kultura gospodarcza Słowian polabskich w rozpatrywanym okresie niewątpliwie stała niżej, niż Belgów i innych ludów rolniczych Galii za czasów Cezara. Dodajmy do tego, iż jeziora i liczne wody także nie sprzyjały w Słowiańszczyźnie większej gęstości zaludnienia. A według obliczeń A. Meitzena przypadało na Belgię Cezara nie więcej, niż 1,300 głów na milę kwadratową, w całej zaś Galii północnej i środkowej tylko 1,100. Są to liczby krańcowe; gęstość zaludnienia w Połabszczyźnie stała napewno o wiele niżej.

Ten sam autor oblicza gęstość zaludnienia dla Germanów nadreńskich, prowadzących jeszcze pół-osiadły tryb życia, 300 głów na milę kwadratową (z obliczeń Herborda dla całego zachodniego Pomorza otrzymaliśmy około 400 głów na tę samą przestrzeń). Gęstość zaludnienia Połabszczyzny musiała wahać się pomiędzy temi cyframi. Biorąc pod uwagę błota, jeziora i niższą kulturę, mniemamy, iż nie miniemy się zbytnio z rzeczywistością, przyjmując gęstość zaludnienia na 700—900 głów na jednostkę powierzchni, przez nas używaną.

Z drugiej strony, możemy wyjść z możliwych rozmiarów pojedynczego powiatu (*civitas*), znając z notatki geografa bawarskiego liczbę tych powiatów u paru plemion polabskich. Herbord podaje liczbę Pomorzan, ochrzczonych w Pyrisie, na 7,000 (mnich z Priefling na 500), inny kronikarz dla Kamina, w którym przebywa żona księcia, na półczwarta tysiąca. Kronikarze wyraźnie mówią o tem, iż ludność tłumnie przybywała z okolicy słuchać nauk i tak samo tłumnie przyjmowała chrześciaństwo. Zwłaszcza co do Kamina możemy przypuszczać, iż podana liczba odpowiada bardziej rzeczywistości. Biorąc pod uwagę możliwą przesadę oraz inne błędy, będziemy mogli przyjąć, iż ludność powiatu pomorskiego, wynosząca z danych Herborda 8—12 tysięcy głów, w gruncie rzeczy nie wynosiła połowy tego.

Z takiemi założeniami zwracamy się do trzech grup słowiańskich, co do których możemy z pewną ścisłością wyznaczyć granice. Będą to Lutycy, Obotryci i Wagrowie. Biorąc za punkt wyjścia dane demologii porównawczej, otrzyma kolejno dla każdego z tych plemion następujące liczby: Lutycy 175—225 tysięcy głów, Obotryci 140—180 tysięcy, wreszcie Wagrowie 16—25 tysięcy. Wychodząc zaś z danych geografa bawarskiego, dostalibyśmy cyfry następujące: Lutycy około 400,000, Obotryci 200—250 tysięcy. Z nich pierwsze wyliczenia są o wiele prawdopodobniejsze, chociaż i one wydają się nam zbyt wielkiemi. Dość bowiem rozczytywać się w kronikach, ażeby przekonać się, jak nieliczne wojska występowały do boju. A przecież Lutycy odznaczali się niezmierną wojowniczością i wciąż ich spotykamy jako zaciężników, na żołdzie Niemców, a nadto rządzili się w sposób demokratyczny i prawdopodobnie w ważnych przypadkach pospolite ruszenie było tam zasadą i do boju szedł każdy szósty, a choćby tylko dziesiąty, członek społeczeństwa, jak bywało u Helwetów i innych ludów Galii za czasów Cezara. Co do jednego z podziałów Lutyków posiadamy jedną dokładniejszą wzmiankę o rozmiarach zaciągu zbrojnego z całego plemienia pod rokiem 1114. Margraf Henryk wynajmuje całą konnicę Cyrcypanów, jednego z czterech szczepów lutyckich. Mają oni wówczas tylko trzy miasta i mogą wystawić po 100 jeźdźców z każdego. Jeśli do obliczenia wprowadzimy stosunek konnicy (pancernych) do innych wojaków, podany u Gallusa dla Wielkopolski, i przyjmiemy otrzymaną stąd liczbę wojska za równą sumie pospolitego ruszenia, otrzymamy dlatego szczepu około 18—30 tysięcy głów. Zważając nadto, iż są już oni podówczas znacznie uszczupleni skutkiem walk z Niemcami i że kiedyś mogli być liczniejsi, dojdziemy może do 50,000: w sumie zatem dla całego plemienia Lutyków będziemy mieli 160—200 tysięcy.

Takiem było najbitniejsze i najsilniejsze z plemion polabskich. Wywody te, jakeśmy zaznaczyli, znajdują potwierdzenie w małych liczbach, z jakiemi mamy do czynienia w kronikach. Wprawdzie w jednej z nich, u Widukinda, czytamy, że w boju pod Lunczynem, w którym głównie występują Redarowie, inny ze szczepów lutyckich, ginie ich aż 200,000! Cała niestosowność jednak tej liczby wyjdzie na jaw, jeśli zważymy, iż ten sam kronikarz mówi, iż 50 jeźdźców rozstrzygnęło losy bitwy. Jeśli było to pospolite ruszenie i jeśli poszły wszystkie plemiona łużyckie, to mogły wystawić 40,000 wojaków — liczba niezmierna, jak na owe czasy.

Wogóle jak nieznacznemi siłami wtedy operowano, o tem można powziąć pojęcie z kilku danych. Batuo, kiedy po śmierci jego ojca Obotryci wrócili do pogaństwa, wychodzi przeciw nim z 600 wojakami bardzkimi — doborem plemienia, które go posiłkowało. Zawsze paręset, najwyżej parę tysięcy wojska wyrusza przeciw Obotrytom lub Lutykom — nie więcej.

I wreszcie, przystępując do naszego kraju, spotykamy takie samo małe liczby. Jedna jeszcze uwaga. Gdy rozczytujemy się w kronikach, Lutycy robią na nas wrażenie, jak wyraża się nowoczesna etnografia, demokracyi wojskowej, tj. plemienia, opartego na pospolitem ruszeniu i patrzącego na wojnę jako na jedno ze źródeł zarobku, niepoważającego władzy książęcej i opartego na gminowładztwie i *liberum veto* (biją tego, kto na wiecu sam jeden jest innego zdania, póki nie przystanie na uchwałę wszystkich). Tymczasem Polanie występują jako plemię, gdzie główną siłę społeczną stanowi drużyna, zależna od wodza i gotowa iść za nim w ogień. Jest to autokracya barbarzyńska, tak dobrze znana w etnologii porównawczej. Mieszko, jak podaje jedno źródło arabskie, ma trzy tysiące wyborowej drużyny, państwo zaś jego jest największem na ziemiach słowiańskich. Towarzysze drużyny otrzymywali, jak „nadzy" drużyn barbarzyńskich, od księcia odzież, konia i zbroję: jeśli któremu przyszło na świat dziecko, ojciec dostawał dodatkowe utrzymanie; jeśli był to syn a dorósł, Mieszko kupował mu żonę. Stosunki niby żywcem wzięte z drużyny jakiegoś Atyli zuluańskiego lub autokracyi wojskowych Afryki. Podobnież i Bolesław Chrobry dba o wojaków: dzielny drużanin był dla niego nie żołnierzem, lecz synem. Jest to wojsko stojące po nad ludem, wchłaniające w siebie różnych przybłędów zblizka i zdaleka, zupełnie zależnych od swego pana, który ich może nawet darować, jak czyni ten sam Bolesław z trzystu pancernikami, ofiarowując ich cesarzowi niemieckiemu. I dodajmy, że Polanie występują nietylko jako autokracya wojskowa, ale i jako strona zaczepna w dziejach. Niektórzy historycy objaśniają powstanie naszego państwa koniecznością obrony przeciw Niemcom. Obecność Niemców dla mnie tłomaczy tylko niepowodzenie zamiarów polskich w stosunku do Słowiańszczyzny zachodniej, ale jako zaczepna grupa wojownicza jesteśmy już zorganizowani przed zetknięciem się z Niemcami. I kiedy Lutycy trudnią się rozbojem wojennym w charakterze demokracyi, tj. bez celów państwowych, u nas zawsze takie cele są widoczne — inny znamienny rys autokracyi barbarzyńskiej. Wobec tego istniejąca siła zbrojna u nas nie daje pojęcia o rozległości liczebnej narodu, bo przestała być z nim w prostym stosunku. Co najwyżej liczby podane przez Gallusa i dotyczące paru miast wielkopolskich, mogłyby dostarczyć pewnej wskazówki, gdyby można było im zawierzyć; nie budzą one przecież zaufania. Gniezno wysyła różnego rodzaju wojska 6,500, Poznań 4,300, Gdecz 2,300, Władysław (Włocławek) 2,800. Gdyby to było pospolite ruszenie lub coś pokrewnego takiemu ogólnemu poborowi, to ludność miast owych byłaby na owe czasy tak znaczna, iż wątpimy, czy gdziekolwiek na lądzie Europy, z wyjątkiem Rzymu, istniały takie ogniska ludności. Biorąc stosunek szóstego, a tem bardziej dziesiątego członka plemienia, otrzymalibyśmy dla takiego Gniezna około 30—60 tysięcy mieszkańców — rzecz kompletnie niemożliwa. Nawet przypuszczając, że liczby te stosują się do całych powiatów, niepodobna byłoby ich przyjąć, bo także byłyby za wysokie. Jeśli zaś są wygórowane dla pospolitego ruszenia, tem bardziej będą posiadały taki charakter jako normy załogi, stojącej po nad narodem. Nie mają więc one żadnej wartości bezwzględnej; dają tylko wyobrażenie o stosunkowych rozmiarach wymienionych miast, oraz o stosunku, jaki istniał za Gallusa pomiędzy różnego rodzaju grupami wojska. Chyba jeszcze przypuścimy, iż liczby te przedstawiają pobór z całego plemienia Polan, a wymienione miasta były punktami zbierania się takiego plemiennego pospolitego ruszenia; ale twierdzić tego nie mamy najmniejszego prawa. Sam kronikarz czuł niestosowność podawanej statystyki, bo zaznacza, iż czasy Bolesława Chrobrego liczyły tylu wojaków, iż pod tym względem niezmiernie przewyższały okres Krzywoustego.

Odrzucając liczby Gallusa, jako niemożliwe, mamy natomiast inne, wzięte od kronikarza, który mógł posiadać lepszą wiadomość o czynach Chrobrego — liczby Thietmara.

Bolesław oczekuje pod Wrocławiem wyniku odbywającej się podówczas wyprawy. Syn jego bierze 600 pieszych i robi wycieczkę do Czech.

Podczas wyprawy na Kijów, pod r. 1018, Bolesław otrzymuje zasiłki. Przychodzi 500 Węgrów, 300 Niemców i wreszcie 1,000 Pieczyngów. Ci ostatni odgrywają bardzo wielką rolę przy wzięciu Kijowa i może rzeczywiście są siłą, biorącą to miasto. Posiłki są, z naszego punktu widzenia, tak nieznaczne, iż mogły posiadać jakąkolwiek doniosłość tylko w przypuszczeniu, iż i wojsko samego Chrobrego nie musiało mieć zbyt wielkich rozmiarów.

Bolesław Chrobry bierze miasto Lubusz ę; broni go tysiąc Niemców, naturalnie, b rom dobrze; przy szturmie styka się pierś z piersią. Chrobry traci 500 wojaków.

Tak wyglądają liczby, zasługujące na zaufanie. Niestety, nasi kronikarze są mniej skrupulatni, a raczej dokładni, bo, z nielicznymi wyjątkami, lubią używać ogólnikowych wyrażeń: „wiele" itd., które ostatecznie niewiele nas uczą. W każdym razie podane liczby nie robią wielkiego wrażenia i niczem się nie różnią od rozmiarów armij, pojawiających się w walce Niemców z Obotrytami lub Lutykami, chyba tylko tem, że Polacy toczą takie walki na wszystkie strony i z powodzeniem, co daje wskazówkę większej siły zbrojnej i, dodajmy, dobrej organizacyi.

. . . .

Niniejszy artykuł rozszerza wywody pierwszego. Posiadamy pod ręką jeszcze inne liczby i inne możliwości obrachunku, ale nie sprawdziliśmy ich dostatecznie. Nadto i to, co podaliśmy, jest tylko tymczasowym zarysem — pierwszą próbą uporania się z materyałem dość niepewnym i podejrzanym, ażeby można było nadawać mu większe znaczenie, niż oryentującej wskazówki.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Matylda Serao.

Matylda Serao urodziła się w r. 1857. Rozpoczęła swą karyerę pracą dziennikarską. W r. 1880 wydała pierwszą powieść: „Serce cierpiące," która odrazu zwróciła na nią uwagę, a potem następowały: „Fantazya" (1883), „Podbój Rzymu" (1886), „Żegnaj miłości" (1889) i wreszcie „Kraj zaczarowany" (1891). Dodajmy do tego cały szereg drobnych powiastek i nowel, jak „Legendy neapolitańskie," „Kochankowie," „Drobne dusze" itd.

Najlepszem pośród tych dzieł jest bezwątpienia „Kraj zaczarowany." Autorka dała tu zupełną miarę swego talentu, który jest znaczny, acz nazbyt ulegający metodzie Zoli w malowaniu mas ludzkich. Powieść tę nazywają niektórzy „Brzuchem Neapolu," aby zaznaczyć podobieństwo z słynnym „Ventre de Paris." Podobieństwo jest daleko większe jeszcze względem „Assomoir," tylko rolę alkoholu z powieści Zoli gra u p. Serao — loterya. Wszystkie warstwy społeczne ogarnięte są tą namiętnością. Autorka doskonale analizuje tę gorączkę, pokazując zarazem wszystkie jej skutki opłakane. Nie wiem tylko, czy obraz ten nie jest zbyt wygórowany w przedstawieniu posępnych stron życia neapolitańskiego. Jakiś powiew szału przebiega książkę od początku do końca; chwilami wydaje się, iż Neapolitańczycy o niczem innem myśleć, ani mówić nie umieją, jak o loteryi i wygranej: jest to mania, prawdziwa „idée fixe." Czyż podobna, aby w tętnie życiowem wielkiego miasta, centrum przemysłu i oświaty, nie można było wyczuć żadnych innych tonów? A może to tylko naśladownictwo t. zw. „metody epickiej" Zoli, który lubi ożywiać jakąś bezosobową postać w rodzaju ziemi, kolei, alkoholu itp., czyniąc z nich właściwych bohaterów swych powieści. Taką zmorę, rodzaj fatum tragedyj starożytnych, stanowi u p. Serao loterya. Ten sposób pisania jest nadzwyczaj jednostronny i nużący. O Neapolu mieliśmy niegdyś pojęcie, jako o kraju piękna artystycznego i przyrodzonego. Nie przeczę, iż w tych tradycyach mogło być wiele retoryki, ale jakiś chociażby cień prawdy mógł w nich być ukryty. Tymczasem z obrazu p. Serao natura i sztuka są prawie całkiem wypędzone. Neapol wydaje się jakiemś ponurem mieściskiem, pełnem nędzarzy, żyjących tylko nadzieją wygranej na loteryi i oszustów, wyzyskujących w sposób najniegodziwszy tę wiarę. I nic więcej lub prawie nic.

Wiemy bardzo dobrze, iż Włochy współczesne są biedne i że na tym gruncie gorączka loteryjna mogła się do pewnego stopnia rozwinąć, ale nie sposób uwierzyć, żeby wszystkie warstwy społeczne były przekonane, iż tylko w ten sposób można się zbogacić, zdobyć stanowisko, a nawet wyżywić. Tymczasem w przedstawieniu autorki na to właśnie zakrawa. A więc wszystkie klasy składają się wyłącznie prawie z nędzarzów: szlachta jest mocno podupadła, zastawia resztki swych obrazów lub srebra, aby kupić bilet loteryjny, w nadziei odrodzenia dawnej świetności domu, kupcy znajdują się zwykle w przededniu bankructwa i na podobnejże drodze dążą do ratunku, robotnicy zanoszą do kantorów loteryi swój zarobek tygodniowy, niestarczący na ich wyżywienie. Urzędnicy mają zwykle po cztery brzydkie córki i marzą o zdobyciu dla nich posagu w taki ż chimeryczny sposób. Być może, iż w Neapolu istnieją inni jeszcze przedstawiciele warstw odnośnych, nie tak głodni i łapczywi, ale ich jakoś w powieści p. Serao nie widzimy.

Gdzie są glupcy, skazani na to, żeby odegrać rolę ofiar, tam muszą istnieć i rekiny, które ich pożerają. Obok wiary w loteryę, jako źródło wszelkiego szczęścia, grasuje śród Neapolitańczyków wiara w to, iż można z góry poznać, przewidzieć numery wygrywające. Na tym gruncie rozwinęła się szajka „kabalistów" i wizyonerów, żyjących ze sprzedaży przepowiedni. Pomimo iż te ostatnie nigdy lub rzadko tylko się sprawdzają, ufność do nich nie zamiera. W przedstawieniu autorki ufność ta ma być tak głęboko zakorzeniona, iż grupa graczów, śród których znajdujemy profesora, adwokata, księcia itd., chwyta jednego z tych wizyonerów, zamyka go na klucz i poddaje prawdziwej torturze, żeby wydobyć odeń „dobre numery," w przekonaniu, iż on je posiada i tylko nie chce udzielić.

Cały tydzień schodzi Neapolitańczykom na kombinacyach, mających na widoku zwycięzenie losu i nareszcie w piątek, przededniu ciągnienia, wybucha napad chronicznej gorączki. Rozpoczyna się procesya do lichwiarzy, do lombardów dla zdobycia kilku lirów, poczem kantory loteryjne osaczone zostają i do późnej nocy ciągną się rozprawy o dniu jutrzejszym. W ten sposób ludzie ci powoli stają się jakimiś manekinami. Ci, co mieli względny dobrobyt, znajdują się z czasem nad otchłanią głodu, bezcześci, samobójstwa. Jeden sprzedaje sumienie, drugi bankrutuje, trzeci umyka za granicę. A po za tą nędzą materyalną kryje się wielka nędza moralna osób, które stały się ofiarami poniżającej namiętności.

Cała powieść obraca się koło grupy tragicznej, złożonej z margrabiego Caralcanti z córką Blanką-Maryą. Zubożały starzec wyprzedaje się do ostatniej nitki, męczy przy tem chorą, zdenerwowaną córkę, wymagając, żeby, przepowiadała mu numery, które mają dać wygraną. Ścigany bezustanną potrzebą pieniędzy, zniża się do kombinacyj nieuczciwych, pożycza sumki zaoszczędzone, których nie może zwrócić, od własnych swych sług. Wpada w ręce oszustów, którzy go wyzyskują i wmawiają weń, iż Blanka Marya, jako czysta i niewinna istota, mogłaby i powinnaby miewać wizye wieszcze względem „dobrych numerów." Starzec wymaga od córki, żeby weszła w stosunki z „duchami" — te dzikie zachcianki, w połączeniu z nędzą doprowadzają biedną dziewczynę do utraty zmysłów. Napróżno doktór Amati, sympatyzujący z jej nieszczęściem, chce ją wyrwać z pod tyranii ojca i poślubić.

Stary margrabia, przy całem swem ubóstwie, ma nieugiętą dumę szlachecką i związek ten uważa za mezalians. Blanka Marya umiera, a wkrótce za nią i stary obłąkaniec.

Koło tych bohaterów obraca się cała armia typów najrozmaitszych, przedstawicieli wszystkich warstw społecznych i wszystkich zawodów, nie wyjmując nawet wróżbiarek (fattachiare), których czarom (fattare) nie ostać się nie może i utrzymańców (camorristów). O pierwszych autorka powiada, iż mają nieraz olbrzymią klientelę, daleko większą, niż ta, jaką posiadają najsłynniejsi lekarze, drudzy odpowiadają mniej więcej typowi paryskiego „souteneura." Wielcy panowie podupadli, kupcy zbankrutowani, lichwiarze, oszuści, mężczyźni i kobiety z ludu — wszystko to porusza się i żyje życiem prawdziwem, w szeregu scen namalowanych z wielkiem mistrzowstwem. Autorka wprowadza nas do ognisk domowych Neapolu, do jego świąt publicznych, na wesela i chrzciny mieszczańskie i na odpusty. Opis cudu, dokonywanego corocznie przez św. Gennaro, jest klasyczny. Naprzód przez drobne uliczki starego Neapolu przenoszą obrazy i posągi wszystkich świętych, który lud błaga po drodze o rozmaite łaski. Następnie tłum zebrany w Santa Chiara zanosi modły gorące o dokonanie cudu, który corocznie się powtarza: krew świętego zaczyna wrzeć w ampułce, gdzie zachowaną została. Pani Serao umie doskonale przedstawiać życie wielkich mas ludzkich, domów, dzielnic, miasta całego. Bourget jest nawet tego zdania, iż jej bezpośrednia wizya życia mas ludzkich siłą swą nie ustępuje tej, którą posiadał Balzac.

Sądzę jednak, iż daleko słuszniej można ją zbliżyć z Zolą, którego wpływ na wszystkich jej dziełach jest oczywistym, zwłaszcza iż przy doskonałej psychologii masowej życie wewnętrzne oddzielnych jednostek jest u p. Serao także powierzchownie typowo i konwencyonalnie przedstawione, jak i u mistrza naturalizmu współczesnego, gdy Balzac był znawcą życia ludzkiego, nieustępującym może nawet Shakespeare owi. Istotnie, inne powieści p. Serao, jak „Serce cierpiące" lub „Żegnaj miłości," zajęte kwestyami psychologii indywidualnej, w niczem prawie się nie różnią od tej niesłychanej masy analiz miłości, któremi francuski rynek beletrystyczny jest nawodniony.

I dlatego „Kraj zaczarowany," który pomimo pewnej jednostronności — wywołanej naśladownictwem Zoli — doskonale przedstawia tłum neapolitański z jego instynktami lenistwa i rozbestwienia, z jego chęcią użycia, wiarą przesądzeń i gorączką gry, pozostanie arcydziełem p. Serao. Dodać należy, iż niektóre jej nowele, zwłaszcza zawarte w zbiorze „Allerte, sentinelle!" są pod względem zwięzłości i elegancyi prawdziwemi perłami.

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYE. S. Dubienko: „Chory człowiek“ (39

— J. Byron. „Wędrówki Childe-Harolda.“ dwa tomy dodatku do *Gaz. pols.*

POWIEŚCI. H. Sienkiewicz: „Pisma.“ t. VII. Dodatek do *Tygodn. ilustr.*

— O. Mysing: „Wróg Napoleona,“ tłom. Topór. *Bibl. dzieł wyb.*

ETNOGRAFIA. *Wisła*, miesięcznik geograficzno-etnograficzny, 13 t., z. II i III.

ESTETYKA. Ks A. Brykczyński: „Listy o sztuce kościelnej,“ *Bibl. dzieł wyb.*

PEDAGOGIKA. P. Chmielowski: „Metodyka historyi literatury polskiej,“ dodatek do *Przegl. pedagog.*

ENCYKLOPEDYE. „Powszechna“ Orgelbranda,

PODRÓŻE. A. Janowski. „Wycieczki po kraju“ (114 str.).

HODOWLA. F. Jastrzębiec: „Rak i jego hodowla.“ według F. Pichtnera i innych źródeł (49 str.). Wyd. „Wodnictwa rolnego.“

GOSPODARSTWO SPOŁ. Dr. K. Rakowski. „Entstehung des Grossgrundbesitzes im XV und XVI Jahrhundert in Polen“ (56 str., drugie wyd.)

MEDYCYNA. Dr. S. Krysiński: „Słownictwo anatomiczne.“ trzy części (I — 268 str. 75 kop., II — 275 str., 75 k., III — 125 str., 50 kop.).

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZESILENIE ROLNE ZA GRANICĄ.

(Dokończenie).

Istnieje wreszcie jeszcze jedna klęska ekonomiczna, która krępuje rozwój wielkiej gospodarki, a mianowicie brak rąk roboczych i tak zwany *rural exodus*, wychodźtwo wiejskie, unoszące bez przerwy tłumy ludności ze wsi. Jest to faktem stwierdzonym, iż wieśniak, który oderwał się od gleby rodzinnej i powędrował do miasta, nie da się za żadne skarby namówić do powrotu. W wielkomiejskim wrzątku życia, gdzie działalność ludzka pulsuje przyspieszonem tętnem, gdzie wytwarzają się nowe postacie współżycia, gdzie masy wyrobiły sobie w formie surogatów bądź co bądź poważną kulturę ducha, były kmiotek czuje się jak ryba w morzu. Warunki pracy rolnej są tego rodzaju, iż parobek jest jednocześnie na wikcie chlebodawcy, albo co najmniej jego lokatorem. W wieku spotęgowania uczuć indywidualistycznych przynależność do cudzego gospodarstwa, a zarazem zależność ciąży silnie na człowieku. Deputanci i komornicy godzą się łatwiej ze swoim losem, wyposażeni we własne gospodarstwo, a wraz z tem i ognisko rodzinne. Słowem, wielki producent środków spożywczych musi się liczyć z brakiem rąk roboczych, jeśli zamierza rozszerzyć swe terytoryum; z tych to powodów powinno mu leżeć na sercu utrzymanie w sąsiedztwie zagonów chłopskich. Dopóki w okolicy istnieją zagrody włościańskie, dopóty dziedzic mniej łamie sobie głowę nad pytaniem, skąd dostanie rąk roboczych do swego folwarku. Wielka gospodarka może więc kwitnąć tylko w sąsiedztwie kmiotków, uprawiających własną rolę. Tak więc doszliśmy do dziwnych wniosków, które rzucają atoli sporo światła na odrębność warunków wielkiego rolnictwa w odróżnieniu od fabrykacyi. Lecz wnioski te należy przyjąć z pewnem zastrzeżeniem. Sam fakt bowiem istnienia drobnej roli niczego nie dowodzi. Widzieliśmy, jak spazmatycznie chłop trzyma się swego szmata ziemi i kosztem jakich wysiłków i poświęceń potrafi wytrwać na swej placówce. Ta chęć pozostania za wszelką cenę przy roli sprowadza go na poziom głodomora, który nawet nie potrafi pracą rąk swych zdobyć tyle, aby wystarczyło na opędzenie potrzeb elementarnych. Innemi słowy, drobny rolnik przestaje wchodzić w rachubę czynników przemysłowych. Na rynku wszechświatowym jest on w najlepszym razie cinrą obozowym, który nie może zaważyć na szali obrotów handlowych ($^3/_4$ drobnych rolników w Niemczech musi dokupywać zboże, aby nie przymierać głodem). Właściwie nie jest on już rolnikiem czystej krwi, lecz mieszańcem, gdyż klepiąc biedę, musi uciekać się do rozmaitych zajęć dodatkowych. Zmusza go do tego również w silnym stopniu rosnąca drożyzna gruntów, towarzysząca wzrostowi ludności. Nie uszło uwagi posiadaczów rozległych dóbr, iż parcelacya ziemi jest bardzo zyskownym interesem. W dodatku jeśli weźmiemy pod uwagę ciągłe rozdrabnianie ziemi przez podział spadkowy, to musimy przyznać, iż jakkolwiek zastęp drobnych rolników rośnie liczebnie, to wszakże przeciętna wielkość działu chłopskiego bezwarunkowo maleje. A jakże wielką jest ilość chłopów, którzy muszą pracować równocześnie na dwu stołkach: z jednej strony pociąga ich opromieniony aureolą tradycyi i przyzwyczajenia zawód rolnika, z drugiej zaś niewdzięczność tego zajęcia zniewala ich do uzupełniania niedoborów dochodowych zatrudnieniem pobocznem. 56% przedstawicieli roli w Niemczech pracuje w przemyśle. Tak zwany przemysł domowy zaprzęga do pracy kobiety i dzieci. Rozmaici przedsiębiorcy, którym idzie o możliwie rychłe wzbogacenie się, zatrudniają lud wiejski wyrobem rozmaitych artykułów handlowych, a gdy interes zaczyna się psuć, palą za sobą mosty i odprawiają z kwitkiem biedaków. Przemysł domowy, wolny od kontroli okarządowego, jest widownią najokropniejszego marnowania sił ludzkich. Ojcowie rodzin wędrują do fabryk, lub też jako bandosi i obieżysasi ruszają w świat, aby zdala od strzechy rodzinnej wynająć się do robót sezonowych. Tak mniej więcej przedstawia się położenie własności drobnej.

Musimy teraz rzucić jeszcze okiem na sytuacyę wielkiej własności, albowiem i tu roztoczy się przed nami widok szczególny. Wielkie rolnictwo, mające, bądź co bądź, jak widzieliśmy, na swe usługi całą bateryę środków ratunkowych, nie obrasta zbytnio w pierze, gdyż i jego korzenie toczy robak ruiny ekonomicznej. Przedewszystkiem rozdrobnienie ziemi, konieczne przy wzroście ludności, stanowi kłopot niełada. Francya stworzyła na tem polu zwyczaj, cchrzczony niemieckim terminem „Zweikindersystem,“ zwyczaj, który zaznaczył się bardzo smutnie w jej dziejach, jako jedna z przyczyn wyludnienia. Prusy i Anglia starały się zażegnać klęskę za pomocą majoratów, a w nowszych czasach drogą zwyczajową wyłoniła się nowa forma spadkowa, t. zw. minoratu, pasująca przeważnie do trybu życia własności średniej. Ucieczka do miasta ludności wiejskiej dobija do reszty rozpaczające rolnictwo. Uciekają bowiem przedewszystkiem ludzie w kwiecie sił, mający powien zasób inteligencyi. Że podniesienie płacy zatamowałoby po części odpływ, to ani na myśl nie przychodzi feodałom wiejskim. Ziemie rentowe, które miały wychować nowe pokolenie drobnych dzierżawców, przywiązanych do ziemi łańcuchem długoletniego kontraktu, nie ziściły pokładanych w nich oczekiwań. Cudzoziemcy, sprowadzani jako rezerwa na miejsce uciekających do miasta włościan, okazują się najmitami lichego gatunku. Wprawdzie projektuje się utworzenie rozmaitych barryer, mających zagrodzić drogę uciekinierom: podwyższona taryfa pocztowa miałaby ich odciąć od otaczającego świata żyjących, wyśrubowana taryfa kolejowa utrudniałaby wychodźtwo, obostrzenie przepisów paszportowych uniemożliwiłoby dłuższy pobyt w mieście. Wszystkie te środki mają atoli to do siebie, iż wystawiają na pośmiewisko i pod pręgierz potępienia panów projektodawców i pozwalają zajrzeć im do kart.

A teraz dla uzupełnienia tej ponurej scenery, wśród której rozgrywa się dramat przesilenia rolnego, przypomnijmy sobie, iż nad rolnictwem europejskiem zawisł od lat dwudziestu miecz Damoklesa konkurencyi zamorskiej, zalewającej bez ustanku swem taniem zbożem. „Amerykańska ziemia dziedziczna, nabywana za bezcen, pozwala yankesom wciąż jeszcze dyktować swe ceny rolnictwu. A gdyby miała nawet wybić wkrótce ostatnia godzina rabunkowego gospodarstwa w Stanach Zjednoczonych, wtedy Amerykę Północną, jak nas zapewnia Rudolf Meyer, zluzuje Południowa, gdzie leży odłogiem 240 milionów akrów. W pierwszych czasach konkurencyi amerykańskiej rolnicy europejscy stracili głowy i zaczęli żądać ratunku od państwa, tj. ceł. W Anglii protekcyonizm państwowy dawno już stracił kredyt, a wtedy rolnicy chwycili się rozmaitych środków samopomocy. Gdzie się dało, zniżono czynsz dzierżawny, aby wsie nie spustoszały do reszty. W większości wypadków atoli, korzystając z bliskości miast i udoskonalonych środków komunikacyi, wzięto się do hodowli bydła lub wytwarzania nabiału, owoców, jarzyn i wszelkich roślin handlowych. Cła przez długi jeszcze czas służyły za deskę ratunku, której zwodniczość występowała jednak coraz jawniej. Nic pozostało nic innego jak szukać zbawienia w bardzo słusznej metodzie, polegającej na połączeniu przemysłu z rolnictwem. Produkty rolne poddane fabrykacyi są w przewozie trwalsze i stosunkowo lżejsze, czyli mają większą wartość specyficzną. Oprócz tego odpadki wyrobu dadzą się zużytkować jako pokarm dla bydła. W ten sposób obok wyrobu sera i konserwów, napotykamy w połączeniu z rolą gorzelnictwo, cukrownictwo, fabryki krochmalu, browary, mleczarnie itd. Rządy zresztą i w tym wypadku nie skąpiły ceł i premij. Rolnictwo to wielkie wystrychnięte podług modły przemysłowej nie wiele się różni od prawdziwej fabrykacyi miejskiej. I tu konkurencya zmusza do ustawicznego stosowania nowych wynalazków i tu surogaty w formie elektryczności bicyklów, sztucznych win, margaryny itp. podrywają stanowisko przemysłu, a co gorsza, spryt Ameryki i jej duch nowatorski popychają rolników europejskich wciąż naprzód, aby nie pozostawać w tyle i nie stracić gruntu rynkowego pod nogami.

Przedm.

W DALI.

Łódź. Projekt inż. Malinowskiego w sprawie urządzenia sal pracy, warsztatów rzemieślniczych itp. dla wychowańców ochrony — jak donosi korespondent *Gaz. Polskiej* — rozpatrywany był na posiedzeniu komitetu ochrony Towarzystwa dobroczynności. Celem szybkiego urzeczywistnienia tego projektu, grono inteligencyi miejscowej zadeklarowało ofiary jednorazowe, zobowiązawszy się nadto wnosić na ten cel stałe składki miesięczne. Dzięki inicyatywie p. Czesława Beina, sekcya techniczna przy Tow. przemysłu i handlu zajęła się opracowaniem wyczer-

pującego podręcznika dla przędzalnictwa bawełny, który, prócz części specyalnej, obejmie także kwestyę budowy domów mieszkalnych dla robotników, szpitali, szkół fabrycznych, pomocy lekarskiej, ochron, przytułków dla starców i kalek, stowarzyszeń spożywczych oraz innych instytucyj humanitarnych. — Gazownia łódzka z okazyi 30-letniego istnienia swego ofiarowała 4,000 rb. na rzecz chrześciańskiego Tow. dobroczynności, 4,000 rb. na rzecz żydowskiego, oraz 1,000 rb. na stowarzyszenie pracowników handlowych.— Z powodu braku w Łodzi racyonalnie urządzonych ogrodów warzywnych, na rynkach łódzkich — jak pisze *Rozwój* — sprzedawana jest duża ilość włoszczyzny, sprowadzanej z Warszawy. To też cena tego produktu w Łodzi o wiele jest wyższą od cen warszawskich, a każda piędź ziemi, użyta w okolicach na ogród warzywny, znaczne daje dochody. Okoliczność ta nasunęła myśl młodszemu ogrodnikowi miejskiemu, p. Adamczewskiemu, stworzenia w Łodzi stowarzyszenia wzajemnej pomocy ogrodników łódzkich ze współudziałem ogrodników podmiejskich, którego cele byłyby następujące: a) pomoc materyalna w razie choroby lub nieszczęścia; b) wydawanie ogrodnikom pożyczek bezprocentowych na zakładanie lub rozszerzanie ogrodów; c) założenie własnej racyonalnej szkółki drzewek dla powiększenia funduszów kasy wzajemnej pomocy; d) zakładanie własnych ogrodów i dostarczanie mieszkańcom miasta taniej i wyborowej włoszczyzny; e) dostarczanie zajęcia ogrodnikom, poszukującym pracy, we własnych ogrodach. Członkowie stowarzyszenia płaciliby składki roczne, które z chwilą utworzenia funduszu odpowiedniego zostałyby w części obrócone na zakupienie ziemi. Ogród stowarzyszenia byłby pielęgnowany wspólnemi siłami i dawałby zajęcie tymczasowe ogrodnikom poszukującym pracy. Osiągany z ogrodu dochód użyty byłby na rozszerzenie lub zakupienie drugiego i tym sposobem z czasem stowarzyszenie wzajemnej pomocy ogrodników dostarczyłoby miastu potrzebną ilość włoszczyzny za możliwie nizką cenę.

Wilno. D. 1 września odbędzie się wystawa. Zapowiada się ona bardzo pomyślnie. Podczas wystawy odbędzie się pierwsze zebranie wskrzeszonego Towarzystwa rolniczego, w celu ostatecznego zorganizowania tej instytucyi. Ustawa różni się od innych ustaw towarzystw rolniczych w guberniach zachodnich. Tak np. prezesem musi być marszałek szlachty, gdy tymczasem w innych kierownik ten jest zawsze z wyboru. Wiceprezesa nie będzie wcale. Wszystkie zaś sprawy, które na zebraniu mają podlegać dyskusyi, muszą być przedtem przedstawione gubernatorowi wileńskiemu do zatwierdzenia. W razie nieobecności na zebraniu marszałka-prezesa, przewodniczy obradom jeden z członków.

Kowno. Towarzystwo rolnicze w Rosieniach liczy zaledwie parę lat istnienia, stało się jednak już dość ożywionem ogniskiem ziemian. Urządziło ono obecnie już po raz drugi wystawę rolniczą w Rosieniach, którą się zainteresowała szeroka okolica. Najwięcej wystawiono koni. Niestety jednak, okazy te stwierdziły zanik sławnej niegdyś rasy żmudzkiej. Bądź co bądź konie robocze, a między niemi nawet włościańskie, były dobre — wszystkie z ras miejscowych. Mniej było koni wierzchowych i powozowych. Bydła było mniej, niż w latach poprzednich. Wybitnie się wyróżniała obora barona von der Recke. Z przemysłu domowego zwracały uwagę: pierniki, jarzyny suszone, konserwy, wino itd. (wyroby p. Kontrymówny z Czerwonego dworu). Godne uwagi były także wyroby koszykarskie z dobr Plemborga p. Dowgirda.— Na ogólnem zebraniu Towarzystwa rolniczego w Rosieniach odczytano sprawozdanie z czynności delegatów, wysłanych do Mińska, Wilna i Petersburga w celu utworzenia wraz z Towarzystwem mińskiem instytucyi wzajemnego kredytu ziemskiego, której inicyatorem jest p. E. Kowalewski, członek rady Towarzystwa rolniczego w Mińsku. — Ważną sprawę poruszył p. Zycki: potrzebę reformy najmu, głównie zaś mieszkań dla robotników, bardzo upośledzonych pod tym względem na Żmudzi. Zdaniem jego, najskuteczniejszym środkiem powstrzymania wychodźctwa byłoby polepszenie mieszkań i podniesienie skali zarobków.

Kijów. Otwarcie XI zjazdu archeologicznego nastąpi stanowczo 13 sierpnia. Prace zjazdu będą rozdzielone na sekcye, których, podług tymczasowego programu, jest jedenaście: 1) starożytności przedhistoryczne; 2) geografia historyczna w związku z etnografią; 3) pomniki sztuki; 4) byt domowy, prawny i społeczny; 5) pomniki języka i piśmiennictwa; 6) starożytności kościelne; 7) starożytności klasyczne i bizantyjskie; 8) starożytności Słowian południowych i zachodnich; 9) starożytności Wschodu, 10) numizmatyka i sfragistyka; 11) sekcya właściwej archeologii. Aby dać możność członkom zjazdu brać udział w obradach wszystkich sekcyj, komitet zamierza urządzić w ten sposób, aby zajęcia w sekcyach nie odbywały się jednocześnie. Główna uwaga zjazdu skierowana będzie na starożytności gub. Wołyńskiej. Komitet zjazdu urządzał niejednokrotnie wycieczki naukowe do tej guberni celem zbadania pomników, rozkopywania kurhanów, przeglądania archiwów klasztornych itp. Komitet oznajmia, że dla uczestników zjazdu otwarte będą zbiory muzealne kijowskie pp. Tarnowskiego, Chanienki i Chojnowskiego.— Grono mieszkańców Kijowa podało do władzy prośbę o pozwolenie założenia w Kijowie rzymsko-katolickiego Towarzystwa dobroczynności, według ustawy normalnej. Podanie podpisali: ks. prałat Żmigrodzki. hr. Marya Tyczkiewiczowa, hr. Roman Bniński, hr. Konstanty Stadnicki, hr. Aleksander Montrezor. hr. Tadeusz Scipio, pp. Wacław Ołtarzewski, W. Józewski, F. Faszcz, L. Siekaczyński, A. Andrzejewski i inni. — Z powodu zamierzonej reformy praw władania ziemią w guberniach zachodnich, kilka pism rosyjskich wypowiedziało swoje komentarze. Między innemi *Mosk. Wied.* polemizują z *Kijewlaninem*. Oto kilka uwag tego ostatniego: „Środków takich, jak ograniczenie praw poddanych pewnej kategoryi, nie należy wprowadzać bez bardzo ważnych powodów; trzeba bezwarunkowo, aby posiadały one niezachwianą podstawę historyczną i polityczną.“ Ale *Mosk. Wied.* nic uzasadniły niczem swego projektu i uczynić tego nie mogły, albowiem Niemcy rosyjscy zarówno pod względem politycznym, jak i służbowym zachowują się bez zarzutu, a jako rolnicy, naturalnie, nie stoją w niczem niżej od innych rolników rosyjskich. Wszczynać bez żadnej potrzeby równie drażliwą i dla wielu bolesną kwestyę, niema celu, zwłaszcza że wypadałoby ją jeszcze rozszerzyć. Jeżeli ma się wprowadzić ograniczenie dla poddanych rosyjskich pochodzenia niemieckiego, to trzeba ograniczenie to zastosować także i do osób pochodzenia francuskiego, włoskiego, greckiego, szwedzkiego itd., a z drugiej strony do Ormian, Gruzinów, Tatarów itd. Z racyi każdego nazwiska, niekończącego się na *ow* lub *ew*, należałoby podejmować studya genealogiczne, choćby noszący to nazwisko często nie zdołał wskazać swego pochodzenia i władał tylko językiem rosyjskim. *Mosk. Wied.* zapewniły, że wszelkie prawa wyjątkowe i ograniczenia nie są bynajmniej dobrodziejstwem, lecz nader smutną koniecznością, takich praw przeto nie stwarza się, lecz dyktuje je nieubłagana konieczność. Jeżeli życie nie wywołuje takiej smutnej konieczności, sztuczne ich tworzenie jest rzeczą bezcelową. Wprawdzie *Mosk. Wied* powołują się na najazd niemiecki w kraju zachodnim, ale ów najazd nie jest niczem innem, jak tylko tworem rozstrojonej wyobraźni. W rzeczywistości większej własności ziemskiej w guberniach zachodnich nie grozi żadna germanizacya, a nowa rosyjska własność ziemska cierpi tylko głównie na anemię, podobnie jak ziemiaństwo gubernij wewnętrznych.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Pisma rosyjskie podają wiadomość, że na liczne prośby jakoby postanowiono znieść totalizatora.

W dopełnieniu do artykułu o kobietach w adwokaturze donoszą nam, że w Belgradzie również panna Maksimowiczówna ukończyła wydział prawny, a ponieważ w Serbii nie wolno kobietom zajmować się adwokaturą, więc obecnie uczęszcza na wydział filologiczny.

Prasa. Za naruszenie w dzienniku *Niżegorodskij listok* rozporządzenia głównego wydziału prasy z d. 20 czerwca 1896 r. i 16 stycznia 1897 r., minister spraw wewnętrznych polecił wstrzymać wydawnictwo pisma na dwa miesiące.

Wobec trwającego w dalszym ciągu szkodliwego kierunku dziennika *Syn otieczestwa* i w nr. 200 w artykule „Zaburzenia w Sormowie“ naruszenia rozporządzenia głównego zarządu prasy z d. 20 czerwca 1896 r. i 16 stycznia 1897 r., minister spraw wewnętrznych udzielił temu pismu drugiego ostrzeżenia.

Odczyty. Komitet Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie zwrócił się do wyższej władzy z prośbą o pozwolenie na odczyty w jesieni r. b. i w początkach roku przyszłego. Przedmiotem ich będzie ziemia oraz sprawy z zakresu handlu i przemysłu.

Dobroczynność. Wydział dochodów niestałych warsz. Tow. dob. w sezonie jesiennym i zimowym urządzi następujące zabawy: 12 amatorskich przedstawień teatralnych, przedświąteczną „Gwiazdkę“; kilka koncertów; 4 „kawy czarne“ maskaradę, tombolę, bal kostyumowy i 6 odczytów publicznych.

Stypendya. Towarzystwo lekarskie w Warszawie zawiadamia, iż w początku roku akademickiego 1899/1900 wolnych będzie sześć stypendyów każde po rb. 300 rocznie, z legatu dr. Walentego Koczorowskiego dla młodzieży, poświęcającej się naukom lekarskim, pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego. Pierwszeństwo mają: a) imienia Koczorowskich; b) Chilewskich synowie i ich następcy z linii prostej Stanisława Chilewskiego, w Galicyi zamieszkali, c) Strojeccy, synowie po Adolfie Strojeckim i ich następcy; d) Lechowscy, synowie i ich następcy po Kaprze Lechowskim; e) w braku kandydatów z wyszczególnionych imion, stypendya nadane być mają innym pilnym studentom medycyny, pochodzenia polskiego, wyznania rzymsko - katolickiego. Życzący ubiegać się o nie winni wnieść prośby do Towarzystwa lekarskiego (ulica Niecała nr. 7) najpóźniej do dnia 15 września r. b. z załączeniem potrzebnych dowodów.

Szkoły. *Warsz. Dniew.* donoszą z Petersburga: „Ministeryum oświaty, rozstrzygając poruszoną w praktyce jednego z okręgów naukowych kwestyę sposobu wykładania nauki religii obcego wyznania w średnich zakładach naukowych, wyjaśniło, że na mocy ścisłego i dosłownego sensu ustawy obowiązującej gimnazya i progimnazya, w każdym osobnym wypadku należy wyjednywać pozwolenie ministeryalne nietylko na udzielanie wynagrodzenia za wykład religii wyznań obcych, ale i na same wykłady tego przedmiotu. Co do pytania, według jakich podręczników i w jakim języku ma być wykładana nauka religii rzymsko-katolickiej w średnich zakładach naukowych, to, jak wyjaśnia ministeryum, przedmiot ten winien być wykładany w języku rosyjskim, według podręczników, zatwierdzonych przez komitet naukowy ministeryum oświaty i pod dozorem władz zwierzchniczych danych zakładów naukowych.“ *Kuryer Warsz.* zapewnia, iż wyjaśnienie to nie dotyczy Królestwa Polskiego.

Przemysł i handel. Od d. 13 lipca r. 1902 wprowadzona będzie skarbowa sprzedaż spirytusu w gub. Tobolskiej i Tomskiej, tudzież w obwodach Semipałatyńskim, Akmolińskim, Kubańskim i Ter[illegible]

— Według informacyi *Gazety losowań*, zawiązało się „akcyjne Towarzystwo artystyczno-wydawnicze,“ z kapitałem 500,000 rb. Do zarządu wstąpili: adw. przys. Lucyan Wrotnowski, Jan Skiwski i Antoni Fleck. Na zastępców wybrano: pp. Juliusza Hermana i Izydora Ciesierskiego. Towarzystwo nabyło zakłady drukarskie firm: Skiwskiego i Flecka, oraz wydawnictwa peryodyczne: *Przyjaciel dzieci*, *Tygodnik mód i powieści* i *Biesiada literacka*.

Z powodu nierównomiernych i nieuregulowanych taryf kolejowych na przewóz nafty i jej przetworów, na ostatnim ogólnym zjeździe taryfowym utworzono, jak wiadomo, komisyę do zbadania przystani rzeki Wołgi i portów mórz Kaspijskiego i Czarnego pod względem warunków przewozu nafty i jej przetworów. Dla komisyi tej, złożonej

z przedstawicieli: ministeryum skarbu i komunikacyi, głównego zarządu kolei skarbowych i zainteresowanych przemysłowców naftowych biuro. ogólnych zjazdów taryfowych opracowało marszrutę, która objęła następujące miejscowości: Rybińsk, Jarosław, Kostromę, Kinieszmę, Niższy Nowogród, Murom, Moskwę, Riazań, Kazań, Symbirsk, Samarę, Syzran i Batraki, Saratów, Kamyszyn, Carycyn i Astrachań, Petrowsk, Groznyj, Baku, Batum, Noworosyjsk, Odesę, Kijów i Warszawę. Komisya wyjechała z Petersburga d. 23 lipca, do Warszawy zaś przybędzie d. 22 września r. b. i zabawi trzy dni, celem zbadania rynku naftowego i warunków przewozowych kolei tutejszych.

Koleje i komunikacye. Postanowiono połączyć telefonem Petersburg z Rygą.

— Wkrótce rozpocznie się prawidłowy ruch pociągów na nowej odnodze kolei Nadwiślańskiej od Łukowa do Lublina.

Katastrofy kolejowe. Na kolei Wiedeńskiej między stacyami Gorzkowice a Rozprza strzaskały się trzy wagony towarowe. Jeden człowiek śmiertelnie raniony, kilku lekko.

— Na odnodze kolei Warszawsko-Petersburskiej Wilno-Dźwińsk pociąg pospieszny (nr. 12) złożony z 6 wagonów osobowych, wykoleił się między stacyami Kałkuny i Dźwińsk. Jeden podróżny śmiertelnie raniony, sześciu lekko. Trzy wagony strzaskane. Przyczyną katastrofy było pęknięcie szyny.

Odpowiedzi Redakcyi

Ant. Kor. Wiersze Pańskie są zbyt osobiste a tak w swych barwach spłowiałe, że w nich niema ani jednej świeżej.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Августа 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.